Ossolineum
Biblioteka
Ossolin

Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 75 gr.

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE

T. ORLEWICZ — Do niedawna była to Dolina Smutku. M PIECHAL — Fabrykanci łódzcy...
C. G. Bidwell — Tom Carpenter — fornal anggielski. Z. SAWKO — Szczecin.
B. WOJDOWSKI — Czytając „Wrzesień" Putramenta. W. SŁOBODNIK — Piosenka...
A. BARTOSZEWICZ — Pozytywni bohaterowie „Czapajewa". A. SAHIA — Czerwcowy deszcz.
T. MURAS — Konflikty w powieści wiejskiej. J. POGAN — Nad Sosnowcem dymią kominy.
G. TIMOFIEJEW — WKP(b) i literatura (I).

Rok IX

Warszawa, dn. 28 września 1952 r.

Nr 39 (373)

Nie ma takiej siły, która by mogła wydrzeć naszemu narodowi owoce tak krwawo okupionego zwycięstwa nad hitleryzmem, nad pruską zaborczością i imperialistycznym barbarzyństwem. Nigdy więcej stopa najeźdźcy nie będzie deptać wolnej Ziemi Polskiej.

KONSTANTY ROKOSSOWSKI

Będziemy ze wszystkich sił umacniać i pogłębiać wieczystą przyjaźń i braterski sojusz ze Związkiem Radzieckim, naszym wyzwolicielem i przyjacielem, sojusz i przyjaźń, będące puklerzem naszych granic i rękojmią naszej niepodległości.

EDWARD OCHAB

Zjednoczenie Polski — powrót do Polski naszych starych ziem zachodnich i północnych jest nierozerwalnie związany ze zwycięstwem postępowego, plebejskiego nurtu w dziejach naszego narodu.

STEFAN JĘDRYCHOWSKI

NA ZIEMIACH ODZYSKANYCH

Mal. St. Żółkowski

IGOR SIKIRYCKI

NA MAZURACH TYSIĄC JEZIOR

DZIECIOM MAZURSKIM!

Jest w Ojczyźnie naszej pięknej ziemia żyzna, czarna,
Która daje rolnikowi chleb w złocistych ziarnach,
Ale są i takie strony, w których pług nie orał,
Bo tam ziemia ię ukryła w lasach i w jeziorach.
Wiele mamy pięknych jezior w dolinach i w górach,
Ale z wszystkich najpiękniejsze znajdziesz na Mazurach.

Na Mazurach, które wieki cierpiały w niewoli,
Na Mazurach, które żołnierz radziecki wyzwolił.
Na tej ziemi, której teraz polski żołnierz strzeże,
Na tej ziemi, której nigdy nikt nam nie odbierze.

* * *

Płynie Łyna od Olsztyna
I w Bałtyku znika.
Pamiętają fale Łyny
Mistrza Kopernika.

Płynie Łyna tuż pod zamkiem
I piosenką dzwoni,
Że Kopernik tego grodu
Przed Krzyżakiem bronił.

Że się w gwiazdy tu wpatrywał
Poprzez długie lata
I rozsławił Polski imię
Aż po krańce świata.

* * *

Na Mazurach tysiąc jezior. Nie zliczysz strumieni.
Patrzy dziadek z okna chaty — jak to się kraj zmienił.
Tu, gdzie dawniej rosły osty, na dworskim ugorze,
Dziś spółdzielczy parska traktor, równe skiby orze.

Płyną łodzie do przystani, wracają z połowu.
Ciężko płyną. Dobry połów — będzie radość znowu.
Dawniej graf zabierał wszystko. Dziś czas inny nastał —
Wspólny połów, równy podział dla wsi i dla miasta.

Patrzy dziadek, a pod lasem, tam — gdzie struga wartka
Błysk toporów, stukot młotów — rośnie w górę tartak.
Za tartakiem mur czerwony; tam cegielnia stanie.
Tak się zmienia kraj nasz cały w Sześcioletnim Planie.

Wtem za oknem szum się rozległ, jakbyś spłoszył pszczoły.
Ach, to dzieci uśmiechnięte wracają ze szkoły.
Idzie Pietrek piegowaty, Karol obok niego,
Spostrzegł dziadka i zawołał: piątkę mam z polskiego.

Przeszły dzieci. Jeszcze śmiech ich dziadek łowi uchem
I wspomina: — Ja w ich wieku byłem już pastuchem.
A o szkole mogłem tylko pomarzyć czasami,
Kiedym głodny i zziębnięty biegał za krowami. —

Były szkoły w moich czasach, tak jak od stuleci,
Ale w szkołach się uczyły tylko pańskie dzieci.
A dziś, jeśli do nauki skłania cię chęć szczera,
Pójść do każdej szkoły możesz, jaką chcesz wybieraj.

Jasna droga przed młodymi. Jasna i szeroka
I pogodna jak to niebo błękitne w obłokach.
Piękne czasy — szepnął dziadek — trzeba szczerze przyznać,
W którym dzieciom szczęście daje LUDOWA OJCZYZNA. —

JAN MROCHEŃ

Opole wierne Macierzy!

SZEŚĆSET pięćdziesiąt lat lud Śląska Opolskiego żył pod uciskiem pruskich junkrów i fabrykantów, żył pod uciskiem hitlerowskiego faszyzmu. Lud Śląska Opolskiego bił się jednak o polskość, lud ten zrywał się trzykrotnie do powstań, lud ten udowodnił jeszcze mocniej w obecnej chwili i w dzisiejszym dniu polskość na Ziemiach Opolskich. Mamy tu Obywatela Chysa w Borkowicach, powiat Olesno, który obchodzi swoje setne urodziny; sam dziś mówi on, że w młodości swej nie znał na Śląsku Opolskim szkół niemieckich, — znaczy to, że jeszcze do niedawna istniały tam szkoły polskie. Widzimy więc, że lud ten walczył, lud ten pracował, lud ten nie bał się faszyzmu hitlerowskiego, lud ten bohatersko walczył i nie dopuścił do rozbicia tego, co było związane z polskością. Hitlerowski faszyzm w 1933 roku chciał zlikwidować te ostatnie pozostałości, ale my na Ziemiach Opolskich broniliśmy tego, walczyliśmy przeciw faszyzmowi hitlerowskiemu.

Lukaschek, dawniejszy ober — prezydent Opola, który był jednym z największych tępicieli wszystkiego co polskie, dziś puszcza propagandę, różne plotki przeciwko nam. Nie jest jednak tak, jak pan Lukaschek myśli albo pan Adenauer. Ludzie na Śląsku Opolskim potwierdzają swe głębokie związanie z Macierzą. Ludzie na Śląsku Opolskim wydali kilka setek przodowników pracy, ludzie ci wydali kilka setek przodowników nauki. Ludzie ci wykazują wielką wydajność w produkcji. Chłopi na Opolszczyźnie wywiązują się wobec państwa w 100 proc. i ponad 100 procent. Taką odpowiedź lud Śląsko-Opolski daje panu Adenauerowi i panu Lukaschekowi!

Granice na Odrze i Nysie są to granice polskie na zawsze. Adenauerowcy i Lukascheki chcieliby na niektórych terenach wbić klina nieporozumienia między obywateli. Ale nie dopuścimy do tego, ażeby rozbijać naszą wielką rodzinę — Polskę.

Jan Mrocheń

Przed PUR-em.

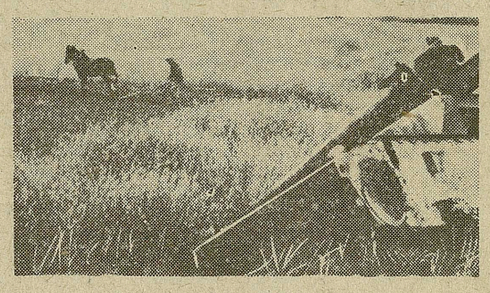

Pierwsza orka.

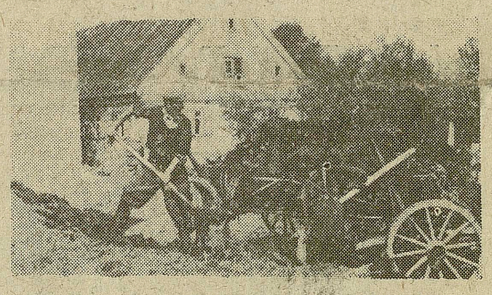

W następnych latach.

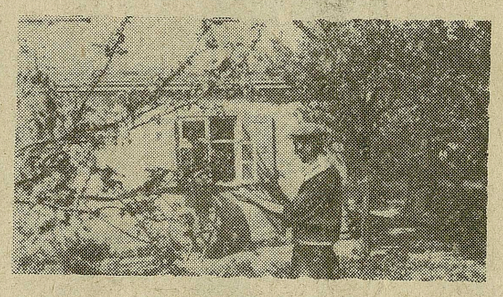

...rozkwit dobrobytu.

MARIAN LEWANDOWSKI

Koszalińscy rybacy

JESTEM darłowskim rybakiem, szyprem kutra Dar 4. Przed wojną byłem również rybakiem ale rzecznym. Po ojcu odziedziczyłem małą łódkę na Wiśle. Nie żyło się nam dobrze. — Połów sie udał, było co jeść, nie udał się, przymieraliśmy głodem. A zimą byliśmy z ojcem bez pracy.

Gdy w roku 1945 Armia Radziecka razem z Odrodzonym Wojskiem Polskim wyzwoliła nasze Prastare Ziemie, udałem się na Ziemie Zachodnie. Kt wtedy przybywał do nadmorskich baz? Kto wtedy znał się na rybołówstwie morskim, prócz kilku rybaków - Kaszubów ze starego wybrzeża, którzy tu tak jak my przybyli na apel PPR? Za rybołówstwo brali się rybacy, chłopi i tacy jak ja rybacy rzeczni. Wyciągaliśmy z basenów zatopione poniemieckie małe kutry i na nich wyjeżdżaliśmy na morze. Jakie to były kutry, to i śmiech dziś bierze. Ale wykonaliśmy Plan 3-letni i zaczęliśmy realizować zadania 6-letniego, zaczęły przybywać do naszej bazy nowe kutry budowane w polskich stoczniach przez polskich robotników i inżynierów.

Dziś w naszych bazach mamy przeważnie takie kutry. Są to mocne, często stalowe jednostki, nowocześnie urządzone, na fali trzymają się dobrze, wyposażone w radiostacje, wiele z nich ma echo-sondy. Na takich kutrach można łowić rybę. Hitlerowscy ichtiologowie obliczali wydajność łowisk Ustki, Kołobrzegu i Darłowa na około 10 tys. ton ryby rocznie. Tymczasem nasze bazy w Ustce, Kołobrzegu i Darłowie już w roku 49 złowiły około 14 tys. ton ryby. Ten przykład najwymowniej świadczy o zagospodarowaniu przez nas wybrzeża koszalińskiego.

My, rybacy, z prawdziwą radością przyjmujemy program wyborczy Frontu Narodowego. W programie tym, widzimy dalsze setki pięknych, nowoczesnych kutrów dla naszych baz rybackich, widzimy nowe dźwigi w portach, nowe chłodnie rybackie i przetwórnie ryb, nowe Domy Rybaka, nowe żłobki, przedszkola, widzimy coraz więcej ryb w sklepach całej Polski, widzimy coraz wspanialszą przyszłość naszej ukochanej na zawsze, nierozerwalnie związanej z całym krajem Ziemi Koszalińskiej.

Marian Lewandowski

WITOLD KULA

Nauka polityczna

POLITYCZNE doświadczenie, płynące z historii walk narodu polskiego o Ziemie Odzyskane. My, historycy musieliśmy stoczyć nie jedną bitwę, zanim doświadczenia te ujrzeliśmy w całej ich prawdzie. Mieliśmy wśród nas takich, którzy na szowinizm junkiersko-burżuazyjnych Niemiec odpowiadali sobie, że tak jak przez wieki szedł niemiecki „Drang nach Osten", tak teraz zaczął się „Drang nach Westen". Musimy z całą stanowczością zdemaskować to reakcyjne, szowinistyczne fałszerstwo historii. Powrót Polski na je ziemie Zachodnie — to akt sprawiedliwości dziejowej, akt, którego treść zrozumie każdy, kto rozumie teorię tworzenia się narodu burżuazyjnego i przekształcającego się w naród socjalistyczny. Badania wykazały, jak spośród chłopów polskich ci, którzy stawali się kapitalistami wiejskimi, kułakami — germanizowali się szybko i jak w przeciwieństwie lud pracujacy miast i wsi wbrew obszarnikom, wbrew kapitalistom miejskim i wiejskim, wbrew większości — zwłaszcza wyższego duchowieństwa — twardo stał przy polskości. Pomorze, Warmia, Mazury, Opole znów stały się polskie — jeszcze jeden przykład — jakże z wielu — potwierdzających stalinowską teorię narodu. Stosunek do tego wielkiego faktu dziejowego — to właśnie owo doniosłe doświadczenie polityczne.

Prosta jest nauka polityczna, płynąca z tych faktów historii. Z radością i ufnością patrzy dziś świadomy Polak poprzez Odrę, gdy wie, że to właśnie z pierwszych szeregów tego „Spartakusa", na którego zebraniach śpiewano „Jeszcze Polska nie zginęła", tego „Spartakusa", w którym walczył Julian Marchlewski, w którym zginęła Róża Luksemburg — wyszedł dzisiejszy prezydent NRD, Wilhelm Pieck. Wspaniałą, nieznaną dawniejszym dziejom historię pisze dziś cały naród polski, przekształcający się w naród socjalistyczny. Wielką historię piszecie dziś wy, tu na Ziemiach Odzyskanych. Historycy polscy stawiają sobie ambitne zadanie pisać ją razem z wami.

Witold Kula

JAN SĘDEK

Korzeniami wrośliśmy

PRZYJECHALIŚMY tu wierząc, że raz na zawsze ziemie piastowskie wróciły do Polski, że ojczyzna nasza na zawsze została zjednoczona. Pamiętam ja dobrze, że pierwsze miesiące a nawet lata nie były takie łatwe. Bo nie tylko ziemia była zaniedbana i wszystko zniszczone, ale wrogowie nasi z Mikołajczykiem na czele próbowali nas zastraszyć, że te ziemie są niepewne, że jeszcze nie Polski.

Ale chłopa, co wywalczył swą wolność i ziemię, nie łatwo było nastraszyć obszarnikiem. My zdobytej ziemi nigdy nie oddamy. My teraz pracujemy na swoim, my już korzeniami wrośliśmy w te ziemie i na nic się zdadzą imperialistyczne zakusy i wroga kułacka robota. Wrośliśmy w tę ziemię jak drzewo — mocno — i nikt nas stąd nie ruszy. Wkładamy nasz wysiłek dla pełnego zagospodarowania tych ziem. Sprawa obrony ich stała się dla nas chłopów sprawą świętą, gdy otwarły się przed nami wrota lepszego, szczęśliwego życia.

Pamiętamy naszą biedę przed wojną, pamiętamy obszarników i bankierów. Pamiętamy naszą Polskę przed wojną — wciąż przez wszystkich bitą. A jak Polskę bili, to nas bili, nas chłopów, nas wszystkich. Wiedzieliśmy o tym i zrobiliśmy to, co winien zrobić każdy chłop polski.

Dziś nasza wspólna gospodarka obejmuje 4 gromady i liczy 1210 ha ziemi. W ciągu 3 lat dochowaliśmy się 626 sztuk trzody chlewnej. Mamy 188 sztuk bydła, założyliśmy stawy rybne na 7 ha, zasadziliśmy 10 ha drzewami owocowymi, posiadamy 18 ha warzywnictwa, odbudowaliśmy zniszczone budynki gospodarcze, 3 obory, 4 chlewnie, warsztaty mechaniczne, magazyn zbożowy, cieplarnię, łaźnię, świetlice, radiowęzeł, żłobek, przedszkole — to wszystko jest u nas nowe, to wszystko stanęło na wsi polskiej i my, niegdyś ciemni i zacofani chłopi, korzystamy z tych dobrodziejstw. Mamy 2 samochody ciężarowe, elektryczne dojarki itd. Nigdyśmy nie myśleli o tym, że można nam będzie tak gospodarować.

Ale to nas zobowiązuje do wielkiego wysiłku, aby dać państwu więcej chleba, aby przyśpieszyć plan.

W przededniu naszego wielkiego święta — Wyborów do Sejmu i dla uczczenia XIX Zjazdu Bohaterskiej WKP (b) zobowiązaliśmy się podnieść wydajność z ha o 2 q w zbożu, o 3 q w burakach, o 15 q w ziemniakach. Wybudujemy przed terminem nowy magazyn zbożowy, jeszcze jeden żłobek i przedszkole, nowe stodoły i inne zabudowania gospodarskie. Przeprowadzimy pełną elektryfikację prac, jak: elektryczne dojenie krów, elektryczne przygotowywanie i zadawanie pasz, wywożenie obornika i innych.

Jan Sedek
Przewodniczący Spółdzielni Produkcyjnej w Wilczkowie, pow. Środa Śląska.

ADAM LEPCZAK

Stolica nadmorskiego jutra

GDAŃSK należy do miast polskich, najbardziej zniszczonych w wyniku II wojny światowej. Śródmieście, które mieściło ośrodki dyspozycyjne miasta i portu, oraz zabytki o bezcennej wartości historycznej, zostało zniszczone prawie całkowicie, bo w około 90 proc.

O ogromie zniszczenia świadczy fakt, że w latach 1945—46 kwestionowana była możliwość i celowość odbudowy Gdańska. Ale szereg ogromnie wymownych faktów, jak zburzenie przez Gdańszczan znienawidzonego zamku krzyżackiego, jak wiele przywilejów królewskich, jak pierwsze placówki kultury polskiej, tradycje plebejskiego ruchu mieszczan gdańskich i wreszcie ogromne znaczenie miasta dla nowej gospodarki morskiej i narodowej, wpłynęły na nieodwołalną decyzję Partii, Rządu i narodu polskiego — pokonania wszelkich trudności i odbudowania Gdańska, silnego bastionu Polski Ludowej na Bałtyku.

Odbudowaliśmy już całe fragmenty miasta...

Odbudowaliśmy bezcenne zabytki architektury...

Odbudowaliśmy 21 mostów na rzekach z liczby 24 zniszczonych w czasie wojny. Odbudowany został cały szereg wielkich zakładów przemysłowych: ze Stocznią Gdańską na czele — z pochylni której wiele nowych statków budowanych już całkowicie w Polsce wypływa w świat.

Gdańsk stał się również ośrodkiem wyższych uczelni. Posiada Politechnikę (ze specjalnym Wydziałem Budowy Okrętów, którego nie było w Polsce przedwrześniowej), Akademię Medyczną, Wyższą Szkołę Ekonomiczną, Wyższą Szkołę Sztuk Plastycznych, Wyższą Szkołę Muzyczną.

Gdańsk jest również ważnym ośrodkiem kulturalnym, wybiegającym poza zasięg województwa. Przykładem tego Opera, Filharmonia Bałtycka, Muzeum Pomorskie oraz festiwale sztuki odbywające się corocznie w miesiącach letnich.

Gdańsk przyszłości to — obok Warszawy — nowoczesne miasto, w którym zabytki kultury narodowej, w jakie tchnięto nową socjalistyczną treść — współżyć będą z nowymi budowlami.

Inż. arch. Adam Lepczak

TADEUSZ ORLEWICZ

RUMUŃSKA REPUBLIKA LUDOWA

Do niedawna była tu dolina smutku

LUD rumuński powiadał do niedawna: „Piękny jest nasz kraj, lecz źle urządzony.“ Istotnie Rumunia jest piękna, gleba jej żyzna, a klimat korzystny dla rolnictwa i hodowli. Rzeki i jeziora obfitują w ryby i gotowe są oddać w służbę człowiekowi ogromne zasoby białego węgla. Kraj bogaty jest w kopaliny: wielkie pola naftowe, ru-

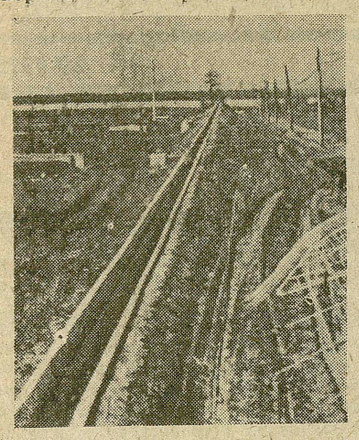

da żelazna, miedź, lignit. Ale ziemię rumuńską i ludzi wsi pętały na pół feudalne stosunki w rolnictwie. Przemysł był w rękach obcych. Kapitał zagraniczny pompował z Rumunii jej największe bogactwo: płynne złoto — ropę naftową.

I lud tego zasobnego kraju żył w nędzy i ucisku. Na wsi podatnik zabierał nawet „popiół z pieca“ jak mówiono w Dobrudży. W kopalniach ropy naftowej i fabrykach dla Rumuna było tylko miejsce niewykwalifikowanego robotnika. Cztery miliony analfabetów, milion bezrobotnych, powszechna nędza tych którzy pracę znajdowali. A na tej nędzy i pracy pęczniały portfele francuskich i niemieckich, a później angielskich i amerykańskich monopolistów, na nędzy milionów wyrastały fortuny miejscowych wyzyskiwaczy, tuczyła się dworska kamarylla.

Dunaj płynie szerokim łukiem wzdłuż południowych granic kraju. Ale w miejscu, gdzie dociera najbliżej morza w linii prostej, niespodziewanie wygina się w wielką skierowaną ku północy pętlę, by spłynąć do wód czarnomorskich szeroko rozgałęzioną nieżeglowną deltą. Przedłuża tym samym swój bieg o ponad 450 km. i omija duże połacie południowo-wschodniej Rumunii. Właśnie tu leży Dobrudża, gdzie los zawziął się szczególnie okrutnie na chłopów.

Nazywano tę krainę „Doliną Smutku“. Były to najbardziej nieurodzajne, jałowe i niezdrowe okolice kraju. Kraina wielu tysięcy hektarów suchych i kamienistych stepów, a równocześnie nieprzebytych bagien, gnębiona malarią i stokroć gorszymi od malarii — straszliwą nędzą i zacofaniem. Kraina zapadłych wsi bez szkół i dróg, jak do niedawna wszędzie w Rumunii.

Ale ani ponury los mieszkańców Doliny Smutku, ani oczywiste korzyści, wynikające z naprawienia kaprysu przyrody nie mogły skłonić kapitalistów do przeprowadzenia odpowiednich robót, niewykonalnych w ustroju wyzysku. I chociaż przeszło sto lat temu rzucono projekt budowy kanału Dunaj — Czarne Morze, pozostał on tylko projektem, bo i w Rumunii, jęczącej pod jarzmem niewoli ottomańskiej, pod butem sturczonych bojarów, i w Rumunii hohenzollernowskiej nikomu z rządzących nie zależało na tym, by uśmiech dobrobytu zawitał do „Doliny Smutku“, aby wody Dunaju służyły bez reszty człowiekowi, nawadniały nieużytki, dawały biały węgiel, zapewniły żeglarzom krótsze i lepsze przejście do morza.

✠

Aż wreszcie nadeszły dni dzisiejsze, i naród rumuński mówi obecnie: „Piękny jest nasz kraj i piękne jest w nim nowe nasze życie“.

Od proklamowania Rumuńskiej Republiki Ludowej minęło pięć lat. W „Dolinie Smutku“ wre ogromna praca przy realizacji największej budowli rumuńskiego Planu Pięcioletniego: kanału Dunaj — Czarne Morze 26 maja 1949 roku Biuro Polityczne KC Rumuńskiej Partii Robotniczej zatwierdziło przedstawiony przez Gheorgiu - Deja projekt tej wielkiej budowli wzorowanej na gigantycznym stalinowskim planie przeobrażenia przyrody.

Na nieurodzajne stepy i przepaściste bagna Dobrudży przybyli nowi ludzie. Nadeszły pierwsze potężne maszyny radzieckie. Był to koniec roku 1949. Medgidia, zapadła wioszczyna, przyjęła w dni słoty i wichrów jesiennych pierwszych budowniczych nowego jutra Dobrudży.

Ekipy robocze poszły na trasę przyszłego kanału. Pustkowie, gdzie niegdzie ubogą wioska, chaty chylące się ku ziemi, kamienisty step, błota. Ludzie przytłoczeni złą potęgą przyrody, jeszcze nie wyzwoleni z jej jarzma, choć wyzwoleni już z jarzma obszarnictwa.

Roboty zaczęły się niespełna trzy lata temu. A dziś na wiele kilometrów w głąb dawnej „Doliny Smutku“ wrzyna się kanał szerokości 160 metrów. Kanał ten skróci drogę statków rzecznych z 450 km. do 60 km. Umożliwi swobodną żeglugę do ujścia Dunaju. Dzięki szerokiej pomocy ZSRR roboty są niemal zupełnie zmechanizowane. Olbrzymie kopaczki produkcji radzieckiej przewalają miliony metrów sześciennych ziemi. Wielkie pompy osuszają błota. Pracują buldożery i walce elek-

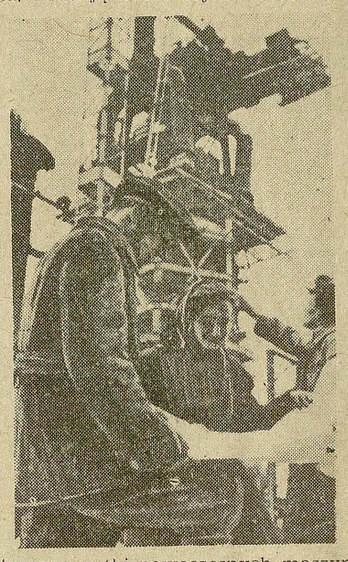

tryczne, setki nowoczesnych maszyn.

Wzdłuż kanału powstają nowe miasta i porty, nowe, nieznane Dobrudży zakłady przemysłowe. Medgidia — była jedną z wielu ubogich wsi rumuńskich. Dziś powstaje tu wielki nowoczesny port morski. Będzie miał sześciokrotnie większą zdolność przeładunkową od największego portu Rumunii, Constanzy. Plan przewidywał oddanie go do użytku w roku 1955. Będzie wykończony wcześniej. Cerna Voda — niegdyś opuszczone miasteczko i zaniedbany mały port rzeczny. Dziś z obu stron kanału rośnie nowe miasto i nowy, wielki port, miasto pięknych domów robotniczych, port w pełni wyposażony w najbardziej nowoczesne urządzenia transportu śródlądowego. Poarta Alba — Jasne Wrota. Dawniej nazwie tej wioski w niczym nie odpowiadała ponura rzeczywistość wielu pokoleń jej mieszkańców. Dziś nowe domy, kluby robotnicze, domy kultury, park Poarta Alba prawdziwie symbolizują jasne wrota przyszłości. W Medgidii powstała cementownia, jedna z największych w Rumunii i wielkie zakłady mechaniczne. W Cerna Voda — stocznia. Podjął produkcję jeden z najważniejszych obiektów kanału — zbudowana przez młodzież elektrownia cieplna „Ovid II“, która zaopatrzy w energię elektryczną nowopowstające ośrodki przemysłowe.

Dobrudża przekształca się w uprzemysłowiony okręg kwitnącego rolnictwa. Delta Dunaju zamieni się w ogród, gdzie będą owocować drzewa podzwrotnikowe. Step haragański po nawodnieniu zdoła wyżywić dziesięciokrotnie większą ilość ludności niż dzisiaj. Wiele wsi przeobrazi się w agro-miasta. Powstaje 60 wielkich zbiorników, które włączone zostaną w system kanałów nawadniających pustynne dotąd obszary. Zasadzono ponad 15.000 ha pasów leśnych, które zieloną ścianą oprą się skutecznie niszczącemu działaniu wiatrów południowo-wschodnich i północno-wschodnich. 4.000 ha nowego lasu powstało na miejscu osuszonych już błot i moczarów.

Dziś nie ma już „Doliny Smutku“. Jest kraina tętniąca rytmem socjalistycznej pracy, kraina wielkiej budowy nowych gmachów i nowego człowieka. Tysiące ludzi poszło ze wsi na budowę. Tysiące we wsi pozostało. Ale wszędzie, jak Dobrudża długa i szeroka, nastąpił przełom w świadomości klasowej chłopstwa pracującego. Nowe budowle jak tarany rozbijają coraz skuteczniej stary świat zacofania, ciemnoty i wynikających stąd uprzedzeń. Przyszła szkoła i książka, rozwinął się sojusz robotniczo - chłopski, poszerzył się i poszerza nieustannie front walki o socjalizm i pokój.

Tadeusz Orlewicz

C. G. BIDWELL

Tom Carpenter fornal angielski

„ZNOJNĄ swą drogę przemierza oracz strudzony“ pisał przed dwustu laty poeta angielski Thomas Grey. I niemniej znojna i trudna niż w XVIII wieku jest droga dzisiejszego oracza-fornala w Anglii w roku pańskim 1952.

Jest wieczór piątkowy. Wraz z traktorzystą, pastuchem, owczarzem, dozorcą świń i kilku ludźmi przygodnych zawodów fornal zmierza do domu rządcy, aby odebrać tygodniowy zarobek. Fornal jest w średnim wieku, średniego wzrostu, nieco pochylony od pracy; nosi portki wypchane i wyłatane starannie na kolanach, starą kurtkę wojskową, spękane buty o czubkach zadartych do góry; spod czapki zsuniętej do tyłu wysuwają się szpakowate kosmyki zmierzwionych włosów.

Dom rządcy ma siedem pokoi i stoi na skraju sadu tuż obok stajen, gdzie stoją cenne huntery i konie wyścigowe „dziedzica“. Kręta ścieżka prowadzi przez sad do dworu dziedzica — właściciela całej niemal ziemi w okolicy. Dziedzic, rządca, fornal i idąca wraz z nim gromadka ludzi, stanowią cząstkę 980.000 osób, które w W. Brytanii żyją z ziemi. Z tej liczby 180.000 gospodarzy sami i z pomocą rodzin uprawia ziemię. 100.000 stanowią właściciele farm i wielkich majątków, zatrudniający pracę najemną. Ci wszyscy prowadzą gospodarkę kapitalistyczną, wyzyskują braki dla uzyskania wyższych cen, a magazynują i nawet niszczą plony, gdy ceny spadają. Używają maszyn rolniczych, ale nie dla zwiększenia i potanienia produkcji, lecz dla podniesienia zysków przez zniżenie kosztów robocizny. Reszta, 700.000 robotników rolnych, ma niski dochód, żadnej pewności pracy i jest całkowicie zależna od właścicieli ziemi.

Dwór dziedzica ma dwadzieścia pokoi: wspaniałe meble, dywany, ciężkie zasłony w oknach, ciężkie srebra w szufladach, kryształy. Gospodyni, lokaj, kucharka, podkuchenna, sprzątaczka i pokojówka utrzymują to wszystko w należytym porządku, a gdy w końcu tygodnia przyjeżdżają z Londynu goście — ledwo mogą wydołać robocie.

Rządca siedzi za małym przepierzeniem w kancelarii przyległej do jego mieszkania. Fornal, gdy przyjdzie jego kolej, otrzyma 5 funtów tygodniowej wypłaty. Ale rządca potrąca mu koszt ubezpieczeń, czynsz domku i karę nałożoną przez dziedzica za to, że synek fornala ścigał królika na pańskich gruntach. Na rękę zostanie więc mało bo ponad 4 funty. Fornal odchodzi rozmyślając, kiedy też wygrzebie się z długów.

Do domu musi iść teraz okrężną drogą. Dawna ścieżka została skasowana, kiedy Amerykanie zbudowali lotnisko (dziedzic musiał zgarnąć ładny kawał grosza za ziemię wykupioną od niego na ten cel przez rząd). Fornal idzie więc szosą: dwa razy dalej. Z przeciwnej strony wyłania się grupa amerykańskich lotników. Dokąd też tak zmierzają, pewnie znowu uczepią się jakichś dziewcząt? Fornala ogarnia niepokój. Jego najstarsza ma teraz 16 lat. Dobra dziewczyna — ale Amerykanie mają tyle pieniędzy i wciąż sterczą w sklepiku, gdzie ona pracuje.

Fornal jest wreszcie w domu. Pokój i kuchnia na dole, dwie klitki na pieterku. Było tu całkiem wygodnie, kiedy się pobrali. Ale teraz, z czworgiem młodzieży od 8 do 16 lat, zrobiło się ciasno. Ale dobre i to. Gazety donoszą, że w Anglii ponad dwa miliony ludzi nie mają mieszkań. Gdybyż tylko właściciel kazał naprawić dach, który cieknie i ten poobijany tynk!

Fornal chciałby sprawić sobie radio i posłać starsze dzieci do szkoły zawodowej. Ale o tym nie ma co nawet marzyć. Dziedzic potrzebuje chłopca stajennego, więc trzeba będzie postarać się o to dla syna. Nie daje to widoków, ale tych parę groszy bardzo się przyda.

W zeszłym miesiącu fornal miał okazję zmiany pracy na lepszą. Rada powiatowa zaczęła budowę drogi — płacą 6 funtów na tydzień. Ale nie mogli mu dać mieszkania, a właściciel zaraz by go wyrzucił, gdyby opuścił pracę w majątku. Dla tych lotników amerykańskich budują domy — z angielskiego budulca i rękoma angielskich robotników. Ale fornal nie jest Amerykaninem, a ma dług w sklepiku i u piekarza. Nie może się stąd wydostać. Jest związany z miejscem.

„Wszyscy jesteśmy związani — myśli. — I traktorzysta i pastuch, i owczarz i cała reszta... wszyscy jesteśmy związani, bo jeśli opuścimy majątek — nie mamy się gdzie podziać. A zresztą o inną pracę teraz trudno, w mieście jest znów bezrobocie, nikt nie chce wieśniaka bez kwalifikacji.

Jesteśmy związani. To całkiem jak pańszczyzna. Nie możemy wybrać sobie pracy, ani spodziewać się poprawy. Musimy tu tkwić — tylko, że jest nam coraz gorzej. Ceny idą w górę, a dziedzic nie chce podnieść wypłaty, choć na swoje przyjęcia wydaje więcej niż na robociznę w majątku. Jesteśmy związani. Nie mamy nic, prócz ubrania na grzbiecie i tych paru gratów w domu. Jeszcze parę lat, a dziedzic powie, że jesteśmy za starzy i powyrzuca nas. Wtedy nie będzie ani pracy, ani domu“.

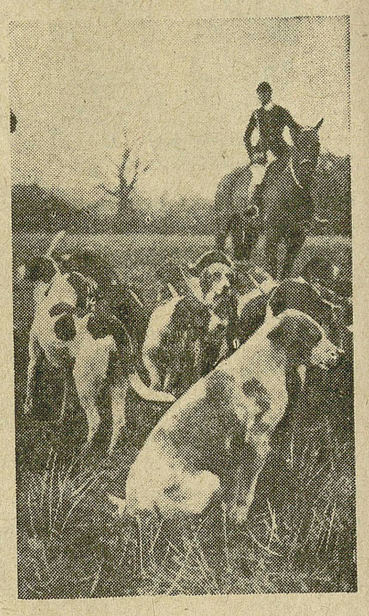

Fornal zjada kolację — chleb z margaryną i dżemem (tak trudno teraz o ser) — i sięga po książkę. Rozkłada ją na stole kuchennym jak najbliżej lampy naftowej (wciąż jeszcze nie ma elektryczności we wsi; na zbrojenia zawsze znajdą się pieniądze, a jak chodzi o trochę wygody dla ludzi — wciąż są jakieś trudności) i starannie dostosowuje odległość swego wzroku. Już od dawna powinien mieć szkła do czytania, cóż kiedy tak drogo kosztują! Ale teraz czyta znacznie lepiej, niż dwa lata temu. Wtedy właśnie sąsiad namówił go, aby przystąpił do Związku Robotników Rolnych i sekretarz Związku zaczął pożyczać mu książki. Zupełnie był wyszedł z wprawy. Na początek pomagała mu córka, potem wodził palcem po książce... Jednakże warto było. Iluż to rzeczy się dowiedział!

Dowiedział się, że jego stan zależności — a także traktorzysty i całej reszty — nie tak bardzo się różni od pańszczyzny, w jakiej żyli jego przodkowie przed laty siedmiuset i przed stu, i niemal jeszcze wczoraj.

Niejeden wieczór przesiedział fornal przy swej naftowej lampie śledząc bieg losów robotnika rolnego w Anglii. Pod koniec XVII wieku na $5^1/_2$ miliona ludności kraju trzy miliony miało dochód roczny poniżej 15 funtów na rodzinę, podczas gdy dochód lordów wynosił 3 tysiące, panów duchownych — 1.300, a dochód przeciętny kupca — 400 funtów. Równocześnie zaś milion ludzi żyło z jałmużny.

W tym czasie było jednak jeszcze półtora miliona chłopów na własnym gospodarstwie. Większość wyrugowano z ziemi w ciągu XVIII stulecia, a dziś pozostała ich garść.

Na scenie życia robotników rolnych zmieniają się dekoracje, ale przebieg dramatu i wynik jest ten sam. Fornal ujrzał siebie niczym w zwierciadle w słowach skreślonych równo sto lat temu przez głośnego wówczas powieściopisarza, Charles Kingsleya: „Byle gdzie rodzi się, byle jak żyje, nie wiedząc dziś, co jutro włoży do ust, rad jeśli zdobył kęs chleba, czy trochę ziemniaków bez okrasy; a jako godna nagroda, u kresu tego wszystkiego, groszowa zapomoga z parafii — albo dom pracy“.

Fornal powtórzył sobie to zdanie po cichu, a potem przeczytał je żonie — głośno i powoli.

„Nie“ odparła „dzisiaj nie jest tak źle. Bądź co bądź jesteście coraz lepiej zorganizowani. I jeszcze raz ci powtarzam, jeżeli będziecie trzymać się razem, możecie dopiąć swego: lepszych warunków dla nas, skończenia ze zbrojeniami i pozbycia się Amerykanów“.

Fornal odłożył powoli książkę.

„Racja“ powiedział wstając. Wypuścił kota na dwór, zamknął drzwi na zasuwkę, poczem odezwał się znowu: „Pewnie, że tak jak jest długo nie może już trwać. I to też racja, że sam jeden nic bym nie poradził“ dodał w zamyśleniu.

Odkąd przystąpił do Związku Robotników Rolnych i zaczął czytać książki, dowiedział się nie tylko o tym, jak w ciągu dziejów jego przodków ograbiano i wyzyskiwano i jak na przestrzeni siedmiuset lat pańszczyzna zmieniała się dla nich w równie ciężką zależność kapitalistyczną.

Dowiedział się również o wielkich tradycjach bojowych angielskich robotników rolnych, o tym jak walczyli z uciskiem. Dowiedział się jaki brali udział w walce ludu angielskiego o wolność. A w miarę jak poznawał te sprawy jego własny udział w tej walce stawał się coraz bardziej świadomy i czynny.

Długie dzieje ucisku i walki nie schodziły mu z myśli, gdy nazajutrz oddawał książkę sekretarzowi Związku.

„Kubek w kubek jak dziś — powiedział — nic prawie się nie zmieniło“.

„I nic się nie zmieni — odparł sekretarz — dopóki ziemia Anglii nie będzie należeć do ludu. Wtedy lud dopilnuje, aby nikt poza nim nie ciągnął korzyści z jego ziemi i pracy“.

C. G. Bidwell

ALEKSANDER SAHIA

CZERWCOWY DESZCZ

(FRAGMENT OPOWIADANIA O PRZEDWOJENNEJ DOLI CHŁOPA RUMUŃSKIEGO)

Petre Magaun wysoki i chudy mężczyzna, o długiej strusiej szyi, bosy, przepasany był paskiem skręconym z szuwaru. Pracował zazwyczaj w podkasanych aż do kolan kalesonach, tak że widać było bliznę po wydartym odłamkiem granatu mięśniu w prawej łydce. Stąd też prawa noga wyglądała jak kawałek spróchniałego drzewa przeżartego kornikiem.

Razem z nim pracowała Ana. Spęczniały brzuch sięgał jej niemal pod brodę. Poruszała się ociężale; robiła wrażenie utuczonej ponad miarę kaczki. Stąpała rozstawiając szeroko nogi i stękając.

Ostrożnie chwytała lewą ręką garść zboża i prawą żęła powoli, przymykając oczy i unikając wstrząsów. Była w dziewiątym miesiącu ciąży.

Głowę i usta przesłoniła żółtą chustką.

Dokuczał jej kurz unoszący się ze słomy i z ziemi.

Od czasu do czasu wyciągała się na ściernisku jak umęczone pracą zwierzę. Wtedy oczy jej wilgotniały, brzuch zaś upodabniał się do niekształtnej góry.

Petremu zdawało się, że płacze.

Odezwał się:

— Ana, płaczesz?

Ana nie odpowiedziała.

— Nie słyszysz mnie? Płaczesz?

Oparła ręce na kolanach, przesunęła je ciężko na uda i biodra, uwydatniając każdym ruchem swój brzuch. Zdjęła z ust chustkę i zawiązując końce jej na czubku głowy odpowiedziała niemal szeptem:

— Dlaczego miałabym płakać?

— Myślałem, że płaczesz.

— Jest mi tylko ciężko, a nie wiem, dlaczego. Jak gdybym po raz pierwszy była w ciąży.

Wół Lisandru Lucea przykuśtykał w pobliże ścierniska i patrzył chytrze na zboże mając ochotę w nie wejść.

W Ludowej Rumunii

Mal. B. Kinal

Magaun skoczył ku niemu, zaklął i uderzył na płask sierpem.

— Do cholery jasnej, bydlaku! U mnie ci się zboża zachciewa, jak gdybym miał go co najmniej sto morgów, a nie ten marny kawałeczek...

I znowu cisza.

Oboje milczą. Od czasu do czasu Petre klnie, gdy ząbki sierpa utkną w ściernisku. Ale nawet wtedy Ana się nie odzywa. Obraca tylko ku niemu głowę i wzdycha ciężko, nie panując nad sobą. Oczy jej są ogromne i smutne.

— Byłoby dobrze, Ano, gdybyś poszła do wozu. Odetchnęłabyś trochę. Tam w cieniu jest chłodniej. Widzę przecież, że nie możesz. Idź już choćby po to, by nie urodzić na polu. Byłoby gadania na całą wieś.

Mal. S. Łukian

Wysoko, gdzie zaczyna się prawdziwe niebo, widać dwa igrające skowronki nie większe od kropek. Śpiewają. Na ziemi, w łanie kukurydzy słychać przepiórkę. Obok Any leży rogożyna i Ana zdaje sobie sprawę, że powinna położyć się na niej. Nie może jednak zdobyć się na najmniejszy ruch i leży tak, jak się położyła.

Żaba o wilgotnym grzbiecie zbliża się ku niej i zatrzymuje tuż koło głowy. Patrzy na nią wytrzeszczonymi oczami. Ma otwarty szeroko pyszczek i wole w białe centki, które pulsuje miarowo jak zegarek.

Przeszedł po niej dreszcz, po którym poczuła radość napełniającą serce i łzy w oczach. Zdjęła ramię z koła, strzepując ziemię z dłoni.

Uniosła się z ziemi na kolana, jej oczy były mętne i poszerzone. Niepewnymi dłońmi, z których zbiegła krew, podniosła ze ścierniska dziecko.

Jego czerwone ciałko oblepione było słomą i ziemią. Ana wstała i podnosząc dziecko ku słońcu potrząsnęła nim kilkakrotnie. Usłyszała krzyk, pierwszy krzyk niemowlęcia. Przytuliła je do piersi całując czule w główkę.

Oczyściła niemowlę ze słomy i ziemi. Zerwała fartuch z brzucha i sporządziła zeń pieluszki. Szybko położyła dziecko na dnie wozu, a rogożynę zarzuciła na dwa boki wozu, by słońce nie dokuczało maleństwu.

Potem, obciągnęła silniej spódnicę wokół bioder i poszła z mężem pracować.

Petre Magaun był cały mokry od potu, jak gdyby wykąpał się w rzece. Zostawił za sobą dziesięć snopów rozrzuconych bezładnie. Upał wzmógł się, ziemia płonęła.

— Petre — powiedziała Ana — urodziłam.

Magaun patrzy na nią nie mówiąc ani słowa.

Kobieta mówi teraz ciszej, w ustach czuje smak popiołu.

— Urodziłam.

Petre wypuszcza sierp z dłoni, prostuje krzyże.

— Chłopiec?

— Tak, chłopiec.

Wyciąga jeszcze bardziej swą strusią szyję, chciałby się śmiać. Mówi:

— No to dlaczego przyszłaś?

— Czuję się dobrze.

I znowu Ana zostaje z tyłu, a Petre goni naprzód niczym wilk. Kłosy zboża łaskoczą go w brodę, niektóre czepiają się jego skóry.

Ana prostuje się nagle i patrzy błędnie przed siebie. Trzymając sierp w dłoni mówi:

— Petre, znów czuję się źle. Idę.

Petre znów zostaje sam, Ana zaś idzie ścierniskiem w stronę wozu, w którym zostawiła dziecko. Usta jej zbielały.

Lecz zanim doszła, ten sam ból, a nawet może silniejszy szarpnął jej wnętrznościami. Przerażona położyła się obok koła. Jakieś dziecko z flaszką w rękach zbliżyło się do Any, zapewne po wodę. Zobaczywszy ją zaczęło uciekać potykając się po drodze.

Wół Lisandru Lucea wlazł znowu na zagon i rogami rozrzucał stóg zboża. Ana myśli. „Gdyby to Petre zobaczył“.

Ból szarpie jej ciałem. Ana trzyma ręką koło wozu. Jęk, a po nim bezgraniczna, ostateczna ulga. Teraz, na polu w czerwcowym upale słychać kwilenie dwojga dzieci. Ana słucha uważnie krzyku dziecka na wozie, który łączy się z próbami oddechu drugiego noworodka.

Nadleciała para motyli, Ana odpędziła je od dzieci. Wieść, że Ana, żona Petrego Magauna urodziła dwóch chłopców rozeszła się szybko po polu. Jak spod ziemi wyrosło kilka bab dookoła Any kąpiąc w studziennej wodzie jej dzieci, przewiązując pępki czerwonymi nitkami bawełny, wyrwanymi z brzegu spódnicy.

Petre zbliża się i mówi:

— Przyjdzie nam zdechnąć. Mam siedmioro dzieci — z tymi teraz dziewięcioro. Razem z nami jedenaście gąb. Powiedzmy, że te małe nie będą żądać zbyt wiele, ale przecież zostaje dziewięć, a mam tylko ten kawałek pola, jedną morgę. A poza tym nie zapłaciłem podatku, nie zapłaciłem za pastwisko.

Nagle niebo zaczęło pokrywać się chmurami. Lekkie jak dym pędzą od strony, gdzie według ludzi kończy się Baragan — od strony rozlewisk Dunaju. Zetknęły się z innymi, które wypłynęły z nad rzeki. Te są ciemniejsze i bliższe.

Aleksander Sahia

tłumaczyli: Dusza Czara-Stec i Eugeniusz Stec

BOGDAN WOJDOWSKI

Czytając „Wrzesień" Putramenta

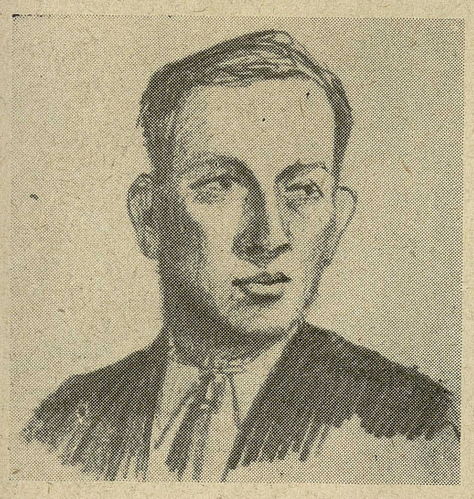

Rys. Bimali Horska

Jerzy Putrament

PROLOG dramatu rozegrał się w Monachium. I już wówczas w grudniu 1938 roku na 9 miesięcy przed wybuchem drugiej wojny światowej nieuchronność klęski przedwrześniowej Polski stała się dla wszystkich oczywista. Jeden z bohaterów powieści Putramenta powie wówczas: „zgodne i zgrane pchanie tej ukochanej ponad wszystko ojczyzny do wielkiej katastrofy". Wielki ładunek sarkazmu i ironii zamknął autor w tym zdaniu, które wypowiada Vestri — cudzoziemiec, rentier wykupujący za bezcen od kapitalistów polskich w przededniu katastrofy akcje ulokowane w przemyśle. Vestri patrzy na wydarzenia w gruncie rzeczy okiem autsidera, kraj w którym przebywa traktuje po społu z innymi żubrami kapitału obcego jako obiekt półkolonialnego wyzysku. I to nadaje jego wypowiedzi akcent obojętności i cynizmu. Vestri w gruncie rzeczy myli się grubo. Ale to wyjdzie na jaw dopiero w godzinie próby. W rachunku swym opuścił on to, czego nie mógł dostrzec z pozycji figuranta międzynarodowych karteli — nie wziął pod uwagę narodu i zagnanej w podziemie partii komunistycznej. Na ostatnich kartach „Września" po raz drugi usłyszymy zdanie Vestriego, ale ulegnie ono zasadniczej modyfikacji. W ustach Krygiera, długoletniego więźnia sanacji, będzie ono miało już akcent nie tylko wyrzutu, ale oskarżenia.

Porucznik Markiewicz, wrześniowy Szwejk, który niewiele zrozumiał poza tym, że wojna zwaliła się na jego biedną porucznikowską głowę w najmniej oczekiwany sposób, i że on — porucznik Markiewicz nagle ujrzał się osamotniony, pozbawiony dowództwa, ośrodków dyspozycyjnych, pozbawiony broni i rozkazów, tenże Markiewicz straciwszy bezsensownie żołnierzy i straciwszy w końcu wszelką wiarę w swoje dowództwo z rozpaczą zwrócił się do Krygiera: „Pan... komunista... Jakbyście mieli rację, jedno zróbcie, kraj ten poratujcie... — Panie! — Krygier wybuchnął także. — Co pan do mnie z pretensjami? Ja, my rządziliśmy Polską?... Nas jak psów ścigano po całym kraju! A teraz pan do mnie z pyskiem... A zresztą — rzekł cieplej — żebyście wiedzieli... My, nikt inny... My — ręką przed siebie, na Warszawę, na wschód pokazał".

Czytając „Wrzesień" Putramenta trzeba pamiętać nie tylko to co było **przedtem**, trzeba również pamiętać to co było **potem**.

W książce tej odczuwamy oddech wielkich spraw i wielkiej polityki — wielkiego bohaterstwa i wielkich łotrostw. Wówczas gdy żona ministra Burdy urzędującego na tym samym chyba korytarzu co ówczesny premier, spędza piękne lato 1939 w Jastrzębiej Górze, jej mąż bierze nie najmniejszy udział w tym „zgodnym i zgranym pchaniu... do katastrofy". W atmosferze politycznego napięcia Monachium stanowi nie jedyne ustępstwo wobec hitlerowskich Niemiec. Faszyzm nie powiedział jeszcze swego ostatniego słowa. Gorączce zbrojeń towarzyszy ostra kampania likwidacyjna wymierzona przeciw ruchowi komunistycznemu. Militaryzm polski również oczyszcza swe zaplecze. Jednym z pierwszych kroków ministra Burdy jest więc rozkaz ewakuacji więźniów politycznych do miejscowości leżącej przy granicy z Niemcami. Okólnik jest poufny — ale cel jego niedwuznaczny: wydać na pastwę żarłocznego faszyzmu jego najbardziej stanowczych wrogów. Sanacji przychodzi na pomoc faszyzm hitlerowski. Nie po raz pierwszy.

Zaślepiona rachubami na wojnę ze Związkiem Radzieckim klika sanacyjna sama wpada w zastawiony własnoręcznie potrząsk. Ci mali ludzie do wielkich zbrodni żyli po to, żeby knuć i knuli po to, żeby istnieć. Racja ich bytu zamykała się pamiędzy czapkowaniem Chamberlainowi a Hitlerowi. Naiwne i pyszałkowate hasło „Polski — przedmurza" mogło mącić we łbach warszawskich endeków, kresowych hreczkosiejów i ich korporanckich synalków, lecz nie mogło przywabić wyrachowanych i szczwanych politykierów okresu pomonachijskiego.

Ribbentrop 25 stycznia przyjeżdża do Warszawy. Prowadzone rozmowy z, pożal się boże, dyplomatami polskimi działają na Warszawę uspokajająco. Niemiecki faszyzm w tym samym okresie prowadzi równocześnie nieobowiązujący flirt z Francją Bonneta i Bluma. Za parawanem tych rozmów szykuje przedwstępne kroki do wojny. 14 marca Hachę wzywa do siebie Hitlér, w dzień później wciska mu do ręki pióro — aneksja Czech staje się faktem dokonanym. Zaledwie w tydzień później (22.III.1939) taki sam los spotyka Kłajpedę.

A polskie ministerstwo spraw zagranicznych? Beck zaciera ręce, inni są bardziej naiwni, wróżą Polsce jak najlepszą przyszłość. Głusi na propozycje ZSRR zawarcia sojuszu obronnego 4-ech państw z Anglią i Francją zgodnie szykują wrześniową klęskę.

Na XVIII Zjeździe WKP(b) — 10 marca 1939 roku tow. Stalin powiedział: „Jesteśmy zwolennikami pokojowych bliskich i dobrych stosunków sąsiedzkich ze wszystkimi krajami ościennymi posiadającymi wspólną granicę z ZSRR, stoimy i będziemy stali na tym stanowisku o ile kraje te będą przestrzegały takich samych stosunków ze Związkiem Radzieckim..."

Czy sanacyjni podżegacze do drugiej wojny światowej mogli wejść do sojuszu proponowanego przez ZSRR na zasadach tak sformułowanych? Wybrali mętne wody kunktatorstwa z Hitlerem, udział w brudnej wojnie z Czechosłowacją, w oszczerczej nagonce na Kraj Rad.

Trudno rozstrzygnąć co było większe: ślepota polityczna ówczesnych naszych, za przeproszeniem, mężów stanu, czy ich obojętność wobec losów narodu. W momencie kiedy ziemia paliła im się pod nogami, gdy rozstrzygała się przyszłość Polski i Europy buńczucznie pobrzękiwali legionową szablą, dodając sobie otuchy złym stanem polskich dróg, które miały nie przepuścić niemieckich czołgów oraz umiejętnością prowadzenia wojny podjazdowej jaką miał ponoć wykazywać Rydz. A na wszelki wypadek ludności cywilnej nakazano przygotować tampony z gazy. Oto co zaprzątało głowy sanacyjnych prowodyrów. Tampony, Rydz, złe drogi i na wszelki wypadek szarża kawaleryjska miały uchronić Polskę przed faszyzmem hitlerowskim. W tej haniebnej komedii wyreżyserowanej przez sanacyjną górę brały udział wszystkie ugrupowania i stronnictwa począwszy od endecji poprzez prawicowych ludowców, a skończywszy na prowokatorskim skrzydle PPS. W gabinecie ministra Burdy rozgrywa się w przededniu wybuchu wojny scena pojednania. Początkowy spór przygotować miał grunt do obustronnych ustępstw. Targu dobito. Posłuchajmy słów pepesowskiego posła Gawałka: — „Za pozwoleniem — Gawałek nogę za nogę założył, znowu dmuchnął prosto w Burdę — nasłuchaliśmy się tu takich różnych fidrygałek. Rząd to, rząd owo. Pomyślałby kto, rzeczywiście, bez nas rząd by sobie w try miga ze wszystkim poradził. Ale komu tu oczy mydlić, jesteśmy między sobą. Co rząd myśli, z komuną rzeczywiście Golędzinowem i Berezą tylko się załatwia? A my to pies? My w partii u siebie dzień w dzień z folksfrontowcami się użeramy, ja na tym zdrowie postradałem. Co byście bez nas robili? Albo i u Kulibaby, co, mało wiciowców do czerwonych ciągnie?"

Powiedziane jasno, trudno mieć jakieś wątpliwości co do roli prowokacyjnych partii, które jedną ręką ucierały masom łzę niedoli a drugą pchały je w objęcia burzuazji. Gawałka i jemu podobnych mówiąc jego słowami „na bajery się nie nabierze". W ponurych dniach przedwrześniowych, kiedy groźba niebezpieczeństwa zawisła nad narodem, w gabinetach ministrów toczyły się targi. Pepesowiec, endek i sanacyjny dygnitarz wyciągali rękę do niemieckiego faszyzmu. Cóż, że ją odtrącono — to już nie ich wina. Istnieje w historii polskiej wypróbowane imię dla zdrajców, imię to brzmi — Targowica. We wrześniu 1939 naród polski po raz pierwszy w tak jasnym świetle dojrzał swych współczesnych targowiczan w mundurach dyplomatów i pułkowników sanacyjnego reżymu.

Minister Burda jest tylko jednym z wielu małych figurantów kliki do małych matactw. Kibicuje on po trosze w tej wielkiej grze, w której karty trzyma Beck i Rydz. Jest w książce Putramenta scena kiedy mały Burda spotyka się z wielkim Beckiem, który mu udziela lekcji politycznej skromności. „I wszystko to po co? Żeby się ofiarować Hitlerowi, niech przychodzi i bierze, co chce, autostradę, Pomorze, Śląsk! Potrzebna mu ta autostrada, ty, głupcze... Skromności się naucz! Urodziłeś się w tym nikczemnym kraiku, bądź skromny! Rób to, na co stać ten kraik! Może go starczy tylko na podpałkę, co?"

Skwapliwe ustępstwa ofiarowywane przez sanację faszyzmowi nie będą przyjęte. Nie chodzi już teraz o korytarz gdański — hitlerowcom chodzi o rozpętanie wojny. Beck na stanowisku polskiego ministra spraw zagranicznych ma za wszelką cenę doprowadzić do jej wybuchu. Po aneksji Czech, zajęciu Kłajpedy, w momencie gdy wpływy Anglii ukrócił Hitler zjednaniem sobie Francji Bonneta i Bluma — Polska przestaje być brana w rachubę jako partner polityczny; może już służyć „tylko na podpałkę". W pamiętnikach Ciano znajdujemy ciekawy fragment rzucający niedwuznaczne światło na ówczesne stadium polityki zagranicznej Niemiec. „Czego wy właściwie chcecie: autostrady przez polski korytarz, czy przyłączenia Pomorza do Rzeszy? — Pyta Ciano niemieckiego ministra spraw zagranicznych. „Wojny" — odparł Ribbentrop. Rozmowa ta toczyła się 22 maja 1939 roku.

Wypadki bezlitośnie poganiały dyplomatów, zbliżał się finał komedii. Przytrzaśniętym w pułapce sanacyjnym prowodyrom wymyka się z rąk aparat władzy i ucisku. Oderwani od narodu i skazani przez historię na klęskę i zapomnienie przestają ostatecznie panować nad sytuacją. Zdezorientowani i bezsilni uwiesiwszy błagalny wzrok na Anglosasach czekają pierwszego sygnału do ucieczki. Jest w powieści Putramenta kapitalna scena, kiedy firmowy dziennikarz sanacji — Tomira Gaysse Tarnobrzeska idzie na Hożą do wróżki, „Pani Malwina niechętnie posłuchała, rozłożyła ponownie karty. — Będzie wojna. Znowu ten walet pik z ósemką. Nie da rady."

Burżuazja polska stacza się bezwiednie po równi pochyłej wypadków, traci ostatnie jakie jej pozostały resztki orientacji politycznej. To wówczas dziennikarze udawali się do wróżek. Ale jest jeszcze druga scena w powieści Putramenta mówiąca bodajże więcej. To moment kiedy minister Burda dostaje w twarz od granatowego policjanta.

Jest noc, Miasto zaciemnione. Minister wpada na kogoś po ciemku. — „Co za cholera, ślepy? — głos był nawykły do rozkazywania. — Pijany? A no chuchnij!" Nieszczęście chciało, że Burda istotnie miał tego dnia na sumieniu szklankę wódki. Wyrywa się. — „Stawianie oporu władzy, no, w komisariacie ci dadzą!" Jest ten obraz jakąś wielką metaforą tych dni, kiedy rząd sanacyjny traci panowanie nad aparatem władzy, siłą dotychczasowego rozpędu działającego jeszcze, ale nieposłusznego rękom, które wprawiły go w ruch. To wówczas właśnie ministrowie obrywali od policjantów.

Pogłębia się ten stan rzeczy jeszcze bardziej z momentem wybuchu wojny. Generałowie jeżdżą od miasta od miasta w poszukiwaniu swych jednostek, jednostki pętają się bezczynnie bez swych dowódców, anarchii w wojsku towarzyszy bezład i chaos w komunikacji; sprzeczne i bezsensowne zarządzenia dygnitarzy wprawiają wojsko i ludność w stan kompletnej dez-

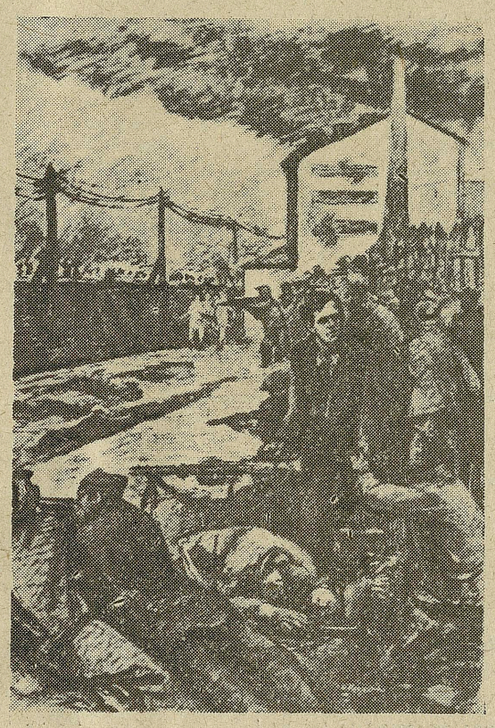

orientacji. Zdrajcy przywdziewają mundur oficerski, sieją zamęt i uprawiają dywersję — tych żołnierz musi się słuchać! Wszyscy uciekający z więzień komuniści domagający się broni do walki zbrojnej mają być według okólników traktowani jak zdrajcy — i tych żołnierz ma rozstrzelać! Lecz kiedy policja zagradza więźniom politycznym wyjście z więzienia wówczas ulica warszawska i lud stolicy, oszukany przez ministrów i pułkowników, jak szczury z tonącego okrętu na wyścigi opuszczających ten kraj który zgubili — wówczas naród staje w obronie tych, którzy za lat kilka przyniosą mu wolność. Pod adresem policji rozlegają się okrzyki: „Czemu ich trzymacie? Chcą się z Hitlerem bić"... Pod naciskiem tłumu policja wycofuje się, pękają wrota więzień. „Szli, było ich coraz więcej Czwórkami, w więziennych strojach, wyglądali jak oddział wojska nieznanej jeszcze broni".

W tych gorączkowych dniach wypełnionych działaniem, kiedy lud szykował się do obrony z miasta umykały ostatnie taksówki dygnitarzy. To wówczas właśnie gdy powstawały robotnicze bataliony obrony stolicy, na czele których stają komuniści i więźniowie polityczni, kochanki generalskie ślą do swych ociągających się mężów naglące telefony: „Dosyć, dosyć tej zabawy. Beckowa już pięć kufrów wysłała, Sławojowa wszystkie..."

Już bez sanacyjnych ministrów i pułkowników rozegrał się ostatni akt wrześniowego dramatu.

Bogdan Wojdowski

MARIAN PIECHAL

ŻOŁNIERZE Z WRZEŚNIA 1939*)

Opuszczeni przez wodzów, rozbici przez wroga,
rozproszeni po lasach i polach.
Cóż mam począć, co robić? i gdzie nasza droga?
Emigracja? Podziemie? Niewola?

Natura dech wstrzymała — czeka, co się zdarzy,
dając ludziom pole do popisu.
W dzień nas słońce upału pociskami praży.
W noc nad nami gwiazd rozstrzały wiszą.

Dotarliśmy do brzegów mazowieckiej Wisły,
od Wielunia pędzeni po Grójec.
Nogi puchną, ropieją rany, gardła wyschły.
Gdzież ta linia obronna? Gdzie „cud" jest?

W rowie czołg, trupy końskie, jęki i agonia:
wojna łup swój wystawia na sprzedaż.
Auto mknie, w nim pan z panią, ich suczka Fawonia,
w drugim pies generała, Boreasz.

Dokąd teraz się udać? Gdzie jest rząd? Za Bugiem?
Cóż zostało? Prom z „państwowej nawy".
ten zgniły prom na Wiśle, którym na brzeg drugi
przeprawiają się szczury z Warszawy.

Nasze miejsce nad Wisłą. Ona rany krwawe
chłodząc goi — uiszcza zapłatę
za wszystką gorycz naszą, za trud: za Warszawę,
i za Kutno, i za Westerplatte!

*) Z tomu poezji, który ukaże się niebawem nakładem „Czytelnika".

O wyborach przed wojną

STANISŁAW RUSINEK

Po pierwszej wojnie

CHCĘ przypomnieć, jak się odbywały wybory w powiecie lubartowskim, miejscu mojego urodzenia, za rządów burżuazyjnych po Pierwszej Wojnie Światowej.

Ludność wiejska mojego powiatu tonęła w ciemnocie. Takich, co się coś niecoś orientowali w polityce było nie wielu. Przyszły wybory do Sejmu. Przypominam sobie, że na ten czas zdołano rozbić naród polski na 17 partii, a więc było 17 list zgłoszonych kandydatów na posłów. U nas popadło dwóch chłopów - kułaków na listy wyborcze. Jeden Kryński z Niedźawiady, drugi Tatarczak z okolic Łącznej, obaj mieli po 40 morgów bardzo dobrej ziemi. Agitowali ci kułacy w powiecie, Tatarczak na numer listy Stronnictwa Ludowego a Kryński na Stronnictwo Demokratyczne. Agitatorów na numery innych stronnictw było do licha, a każdy dobro obiecywał.

Przyszło głosowanie. Ludzie byli tak obałamuceni, że zupełnie stracili orientację i nie mieli pojęcia na kogo głosować, prócz garstki orientujących się nieco lepiej.

Na drogach porozdawano głosującym tyle rozmaitych numerków, że szczególnie kobiety kładły do kopert numer, jaki im popadł i wrzucały do urny. Obserwowałem to w mojej gminie Samoklęski i przypuszczam, że tak bywało wszędzie. Cała masa ludzi z nieświadomości i ogłupiania głosowała bezmyślnie. Nikt biednemu chłopu dobrego nie zrobił i nie zrobi — mówiono. Niech tam rządzi, kto chce. Tak szło wtedy głosowanie.

Ci dwaj wspomniani kułacy jak zostali posłami, niby przedstawiciele chłopów, odwrócili się od wyborców, ogłupiali dalej ludzi, a robili w Sejmie co innego. Pomagali burżuazji łupić i gnębić biednych chłopów i bezrobotnych a sami dorabiali się jeszcze większego majątku.

Mniej więcej w tym czasie jeden z księży powiatu lubartowskiego nazwiskiem Salomon, zaczął działać pomiędzy najbiedniejszymi chłopami. Obcował tylko z biedotą. Pomagał uciśnionym jak mógł. Pisał najrozmaitsze podania chłopom. Stawał w różnych sprawach jako obrońca do sądów i zdobył sobie zaufanie u biedoty. Nie brał za nic pieniędzy.

Na jednym ze zjazdów Stronnictwa Ludowego i innych stronnictw chłopskich w Warszawie gdzie i ja byłem obecny, ksiądz Salomon zabrał głos. Miał on dar mówienia.

Po dość długim przemówieniu zakończył go tak: „Tylko na masach chłopskich i robotniczych możemy się oprzeć, jako zdrowym fundamencie pod przyszły gmach Polski. Wy chłopi biedni i poniżani nie słuchajcie, jeśli mówią z ambony, że macie pracować i znosić cierpliwie krzyże, które Pan Bóg zsyła, a otrzymacie zapłatę w niebie".

Ksiądz Salomon niedługo po zjeździe został zwolniony z pełnienia funkcji wikariusza w parafii. Zamieszkał na wsi u chłopa. Miał biuro pisania darmowych podań. W dalszym ciągu stawał jako obrońca do spraw sądowych bezpłatnie. Od średniaków brał co nieco, aby tylko wyżyć.

Wreszcie Kuria Biskupia odebrała mu prawo odprawiania mszy i noszenia sutanny. Ksiądz Salomon żył w ten sposób dalej na wsi jako zwykły człowiek. Ja się wtedy przeniosłem za chlebem na kresy wschodnie.

Kiedy w 1922—1923 roku pracowałem na kresach, premierem rządu był jeszcze chłop Witos. Chłopi bogaci mieli dużo pieniędzy, nosili miliony w walizkach. Bywało tak, że przywozili z miasta całymi pakami wódkę (zawierały one po 100 butelek) i spraszali kumów i kolegów i pili na umór nieraz nawet w dnie pracy. „Rżnij Walenty jeszcze raz", albo „pijcie jeszcze kumie" głosiły kolorowe etykiety na butelkach. Jednym słowem takim chłopom było w tym czasie jak za króla Sasa.

Nikt nie widział, skąd się dla nich tak nagle wziął dobrobyt, kiedy biedota dalej cierpiała nędzę i brak pracy.

Ja dopiero po kilku latach dowiedziałem się, że w owym czasie rząd Witosa sprzedał Niemcom prawie jedną trzecią lasów państwowych a zaciągnął dość duże pożyczki zagraniczne i wtedy przez rabunkową gospodarkę robił bogatszym chłopom dobrobyt no i obszarnikom, lecz biedocie nędzę.

Stanisław Rusinek

BRONISŁAW MARCINEK

Rok 1935

NASUWAJĄ mi się wspomnienia z okresu Polski sanacyjnej, a mianowicie z roku 1935. Pamiętam jak wyglądały te wybory — maszerowali chłopi w asyście policji z jedynkami w ręku. Ja na te wybory w ogóle nie poszedłem, nie poszli prawie wszyscy chłopi z mojej wsi Leć w gm. Hańsk w powiecie włodawskim, za wyjątkiem dwóch chłopów: jednego który był bogatszy od innych, a zarazem sołtysem i drugiego, który woził pocztę, zarazem miał gospodarstwo na Leciu i żył w stosunkach zażyłych z policją i całą administracją sanacyjną. Oni to właśnie poszli głosować, gdyż nie dało nam się przekonać tych dwóch chłopów. Dzień głosowania był niedzielą, wszyscy więc chłopi zgromadzili się u jednego sąsiada przy trakcie. Leżąc na murawie rozmawialiśmy o oszukańczych wyborach, a zarazem szydziliśmy z kandydatów na posłów, gdyż na liście wielcy obszarnicy figurowali jako zwykli rolnicy, na przykład chłopi z okolic Białej Podlaskiej, Radzynia, Włodawy, a więc mojego powiatu mieli głosować na rolnika — księcia Czetwertyńskiego.

Z jednej strony był to powód do śmiechu z tej komedii sanacyjnych wyborów do Sejmu, a z drugiej strony każdy chłop świadomy „piorunował" te sanacyjne wybory, czytając listę kandydatów na posłów, którzy mieli reprezentować interesy chłopów, robotników i robotników fabrycznych.

— Tacy posłowie-„chłopi" jak Czetwertyński, Poniatowski, Kościałkowski, Miedziński, Polakiewicz, Długosz, Hamerling, arcybiskup Teodorowicz i wielu innych — oni będą bronić naszych chłopskich interesów?

— Będą bronić swoich folwarków i fabryk, swoich kapitałów ulokowanych w bankach, będą bronić swoich wysokich uposażeń — sąsiad Romanowski nie lubił żartów i odpowiadał zawsze na to, co w pytaniu wydało mu poważne. Na serio też wystąpił Majewski.

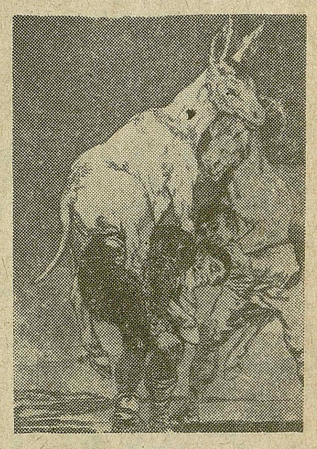

Goya

— Będą za tym żeby jak najmniej płacić robotnikom rolnym, będą za tym, żeby obszarnicy i bogacze jak najmniejsze płacili podatki, a za nich biedota wiejska i robotnicy.

— Niech jasny piorun trzaśnie takich posłów i takie wybory — rzekł popędliwy Chęclewski. W tym bowiem czasie, gdy wielu chłopów naszej wsi leżało przy drodze i przeklinało sanacyjne wybory do sejmu, wędrowało do gminy dwóch chłopów bogatszych Porembny Józef i Krzesiak Stanisław. Ten miał młocarnię, kierat, wialnię, a więc był faktycznie przy nas bogaczem, dlatego go zrobili sołtysem. Tegoż Krzesiaka zobaczył Chęclewski. A Krzesiak nadchodząc zagadał:

— No co chłopy, idziemy głosować?

— Gdybyś człowieku miał trochę oleju w głowie to byś sam nie szedł i nikomu głowy nie zawracał. Na kogo idziesz głosować? Na księcia Czetwertyńskiego — zastanów się chłopie!? — odezwałem się, chcąc go zatrzymać.

— Ja muszę, ja jestem sołtysem! Posypały się za nim drwiny.

— Ty masz młocarnię, to ty musisz poprzeć swego kuma, księcia Czetwertyńskiego, on tyż młockarniami wywija i...

...I przyjechała na rowerach policja, ale myśmy przeczuli i ukryliśmy się w lesie.

Bronisław Marcinek

Z szopki politycznej pisarzy łódzkich

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

Piosenka o fabrykancie łódzkim, o jego śmierci i pożegnalnych słowach grabarza

Miał forsę w banku zagranicznym,
Taką, że hejże, hejże ha!
Miał liczną służbę, pałac śliczny,
Taki, że hejże, hejże ha!

Był z niego dobry patriota,
Taki, że hejże, hejże ha!
Prawdziwy patriota złota,
Taki, że hejże, hejże ha!

Jadał homary i ostrygi,
Takie, że hejże, hejże ha!
A robotnikom dawał figi,
Takie, że hejże, hejże ha!

Poza tym był dość miłym chłopem,
Takim, że hejże, hejże ha!
Niekiedy bywał filantropem,
Takim, że hejże, hejże ha!

Psu swemu rzucał mięsa kawał,
Taki, że hejże, hejże ha!
Ofiary na policję dawał,
Takie, że hejże hejże ha!

Nie gardził żadną on dziewuszką,
Taką, że hejże, hejże ha!
A nawet i proletariuszką,
Taką, że hejże, hejże ha!

Choć kochał własność on najbardziej,
Taką, że hejże, hejże ha!
Swój własny naród miał w pogardzie,
Takiej, że hejże, hejże ha!

Z podagrą swoją i cukrzycą,
Taką, że hejże, hejże ha!
Pół życia spędził zagranicą,
Spędził, że hejże, hejże ha!

Było mu bardzo, bardzo dobrze,
Było mu tak, że hejże ha!
A kiedy umarł, miał on pogrzeb,
Taki, że hejże, nejże ha!

Za trumną jego szła rodzina,
Taka, że hejże, hejże ha!
Policja szła i jego psina,
Taka, że hejże, hejże ha!

Potem pijany grabarz wrzasnął,
A wrzasnął tak, że hejże ha!
„Uwielbiał własność, ma więc własność,
Taką, że hejże, hejże ha!

Na własność ma szmat ziemi żyznej,
Takiej, że hejże, hejże ha!
I ludu gniew, co dla ojczyzny
Pracuje tak, że hejże ha!..“

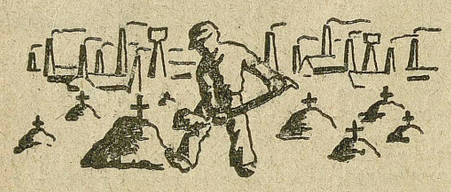

MARIAN PIECHAL

Fabrykanci łódzcy
w dniu 5 maja 1892 roku

Zapowiadacz: Proszę obywateli i obywatelek! Ujrzymy za chwilę fragment wielkiego wydarzenia sprzed lat 60-ciu. Uscenizowany ten fragment nosi tytuł: „Fabrykanci łódzcy w dniu 5 maja 1892 roku“. Wiadomo, że był to piąty dzień największego natężenia strajku robotników łódzkich, którzy po raz pierwszy tak licznie i nie żywiołowo, lecz świadomie i solidarnie przystąpili do walki o „wyższą płacę, a krótszą pracę“ — pracę, która trwała wtedy przeciętnie 13 godzin na dobę. Robotnicy łódzcy strajkowali, a co wtedy robili fabrykanci łódzcy? Ukryli się w Grand - Hotelu, i pod zbrojną opieką żandarmów carskich wysyłali do władz w Warszawie i Petersburgu rozpaczliwe depesze o pomoc. Co sądzili o strajku dowiemy się za chwilę z ich własnych słów.

(Fronton Grand-Hotelu na ul. Piotrowskiej. Na dole, przed wejściem woźny w liberii i uzbrojony żandarm. Na I i II piętrze po 3 okna, nad nimi kolejno napisy wielkich firm łódzkich: Scheibler, Grohman, Geyer, Heinzel Silberstein, Poznański. To z jednego, to z drugiego okna wyzierają trwożne fabrykanckie głowy).

Scheibler: *Panie Grohman!*
Heinzel: *Scheibler!*
Silberstein: *Geyer!*
Geyer: *Herr Poznański*
Poznański: *Silberstein!*
Grohmann: *Pan się boi?*
Heinzel: *Boję!*
Silberstein: *Frajer!*
Scheibler: *Groza!*
Geyer: *Strach!*
Grohmann: *Strajk!*
Poznański: *Straszny maj!*
Scheibler: *Zła godzina przyszła na nas!*
Grohmann: *Nie wychylać z okien głów!*
Geyer: *Co to!*
Silberstein: *Krzyki!*
Heinzel: *Strzały!*
Poznański: *Hałas!*
Scheibler: *Znów?*
Silberstein: *Znów!*
Heinzel: *Znów?*
Grohmann: *Co jest?*
Poznański: *Co?*
Scheibler: *Gwałt!*
Silberstein: *Co się dzieje*
Heinzel: *Czarna wiosna!*
Geyer: *Czarny maj!*
Scheibler: *Człowiek chyba oszaleje!*
Silberstein: *Dać im?*
Grohmann: *Nie dać!*
Geyer: *No to strajk!*
Heinzel: *Chcą nas zniszczyć te łajdaki!*
Geyer: *O co wrzeszczą?*
Poznański: *Czego chcą?*
Scheibler: *Więcej płacy!*
Silberstein: *A mniej pracy!*
Heinzel: *Obrzydliwy, nędzny tłum!*
Scheibler: *Mają łomy!*
Geyer: *Mają noże!*
Silberstein: *Mogą cegłą walnąć w kark!*
Heinzel: *Nas tu wszystkich trafić może...*
Silberstein: *Szlag!*
Grohmann: *Szlag!*
Heinzel: *Szlag!*
Grohmann: *Robotnicy!*
Scheibler: *Robotnice!*
Heinzel: *Każde wściekłe z nich jak zwierz!*
Poznański: *Strajkują też Pabianice!*
Geyer: *Zduńska Wola!*
Heinzel: *Widzew!*
Silberstein: *Zgierz!*
Geyer: *Któż nas zbawca?*
Heinzel: *Liberator?*
Scheibler: *Żeby nas obronić mógł?*
Silberstein: *Generalny gubernator!*
Grohmann: *Policmajster!*
Poznański: *Car!*
Heinzel: *I Bóg!*
Silberstein: *Na strajk mamy środek złoty.*
Scheibler: *My — pieniądze.*
Poznański: *A car — knut.*
Silberstein: *Niechby puścił knut w obroty...*
Geyer: *Lecz knut uśmierzy lud?*
Heinzel: *Może się rozejdą?*
Scheibler: *Wątpię...*
Silberstein: *Walka: oni — albo my!*
Poznański: *Gdy im dzisiaj grosz ustąpię,*
Jutro zażądają trzy!
Heinzel: *Herr Poznański, pisz depesze.*
Geyer: *Panie Scheibler, podpisz je.*
Silberstein: *Niech nam car z obroną śpieszy.*
Grohmann: *Niech na pomoc wojsko śle.*
Heinzel: *Car obiecał pułk kubański.*
Poznański: *Byle na czas zdążyć mógł.*
Silberstein: *Car z Scheiblerem!*
Scheibler: *I z Poznańskim!*
Grohmann: *I z Geyerem!*
Heinzel: *Car i Bóg!*
Silberstein: *Lecz tłum cara się nie boi.*
Heinzel: *Bóg daleko — mówi — stąd.*
Geyer: *Nas i cara z kas rozbroi.*
Scheibler: *I powoła przed swój sąd!*
Heinzel: *Człowiek człowiekowi wilkiem...*
Grohmann: *Wszystko o ten marny grosz!*
Silberstein: *Herr Poznański!*
Poznański: *Zaraz, chwilkę!*
Grohmann: *Woźny!*
Poznański: *Żandarm!*
Scheibler: *Bracia!*
Żandarm: (z dołu) *Wriosz!*
Grohmann: *Patrzcie, tłum!*
Scheibler: *Tłum, coraz bliżej!*
Silberstein: *Tłum nam grozi!*
Geyer: *Ściska pięść!*
Heinzel: *Czerwień!*
Poznański: *Sztandar!*
Grohmann: *Coraz wyżej!*
Silberstein: *Pieśń, słyszycie!?*
Poznański: *Straszna pieśń!*

(Za sceną daleki śpiew)

Krew naszą długo leją katy,
Wciąż płyną ludu gorzkie łzy,
Nadejdzie jednak dzień zapłaty,
Sędziami wówczas będziem my.

(I już wyraźniej i jeszcze głośniej refren)

Dalej więc, dalej więc, wznieśmy śpiew.
Nasz sztandar płynie ponad trony
Niesie on zemsty grom, ludu gniew,
Przyszłości rzucając gniew.
A kolor jego jest czerwony,
Bo na nim robotnicza krew.

Grohmann: *Herr Poznański?*
Geyer: *Scheibler!*
Scheibler: *Geyer!*
Heinzel: *Nie wychylać z okien głów!*
Silberstein: *Zamknąć okna!*
Grohmann: *Zamknąć!*
Poznański: *Frajer!*
Heinzel: *Herr Poznański!*
Poznański: *Co?*
Heinzel: *Pacierz zmów!*

(Okna się zamykają, woźny i żandarm ulatniają się sprzed hotelu, śpiew rośnie.).

Choć stare łotry, nocy dzieci,
Nawiązać chcą starganą nić,
Co złe, to w gruzy się rozleci,
Co dobre, wiecznie będzie żyć!

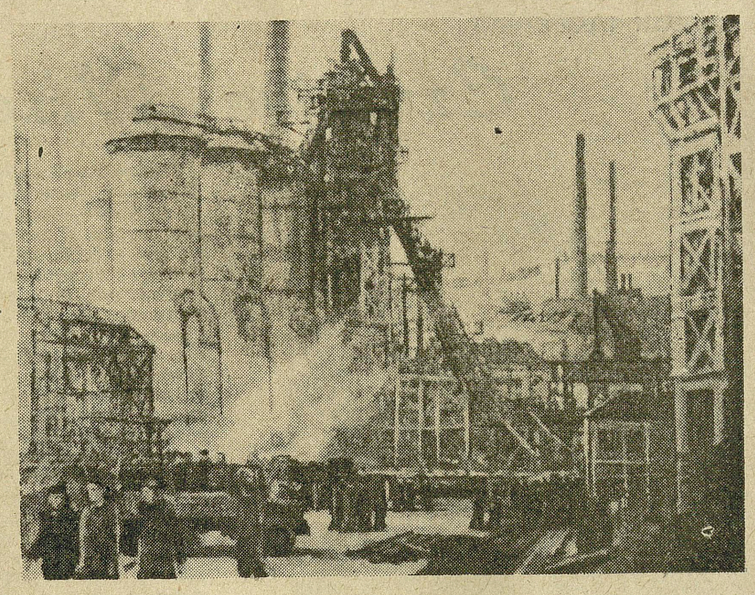

Mal. Konstanty Mackiewicz

JÓZEF POGAN

Nad Sosnowcem dymią kominy

„MIASTO kocich łbów“.— Pod taką nazwą wszedł Sosnowiec w dzieje pierwszych lat nowej Polski. Ale obecnie „kocie łby“ nawet w zakątkach miasta znikają już pod twardą nawierzchnią brukowanych czy asfaltowych ulic. Przybyło ich około 40 km.

Drugą podobną bolączką Sosnowca był, a w części powstał jeszcze brak mieszkań. Miasto liczące ponad sto tysięcy ludności nie może wszystkich wygodnie pomieścić. Kapitalizm zostawił miastu w spadku ciasnotę mieszkaniową, a powojenny rozwój przemysłu ściąga tu ludność napływającą z oddalonych, wiejskich okolic. I te trudności choć powoli, ale też się usuwa. Mocne dłonie robotników znać wszędzie. Przy ulicy Generała Świerczewskiego wznosi się piękne Osiedle Robotnicze na pięć tysięcy mieszkańców. Dotychczas już połowa wraz z przedszkolem na sto dwadzieścia dzieci została oddana do użytku. Drugie, jeszcze większe Osiedle na sześć tysięcy mieszkańców buduje się w dzielnicy Milowice. Goi się więc i ta bolączka — usuwa ją brat kamieniarza — murarz. Sosnowiec rośnie wszerz, wzdłuż i w górę.

Uciera się teraz inne określenie Sosnowca — **„miasto kształcącej się młodzieży“.** Na sto tysięcy mieszkańców, przeszło piętnaście tysięcy dzieci i młodzieży kształci się w podstawowych, średnich, ogólnokształcących i zawodowych szkołach, a przeszło czterysta na wyższych uczelniach w innych miastach Polski. Samych tylko przedszkoli jest w Sosnowcu 22 z liczbą tysiąc osiemset dzieci. Aż zdumienie ogarnia, że przed wojną było ich zaledwie 4 dla 100 dzieci. Szkół różnego stopnia i typu jest pokaźna ilość: 21 podstawowych, 5 średnich ogólnokształcących, 14 zawodowych różnego typu, 1 wyższa inżynieryjna tak zwana „kształcenia zaocznego“ i jeden kurs na poziomie wyższej szkoły inżynieryjnej. W tych szkołach kształci się nie tylko młodzież, także jej rodzice.

Na ulicach Sosnowca dymią gęsto kominy, czarne smugi, zda się, piszą kronikę dzisiejszej pracy i życia, by jutro ułożyć z niej księgę bogatej części historii narodu. Jakie jest to życie? praca? perspektywa przyszłości?

Dyrektor huty „Sosnowiec“ obywatel Gil narzeka na brak robotników. — A jednak dajemy sobie radę. Huta dymi dniem i nocą — mówi dumnie. — Załoga pojmuje jasno, że dla swego i narodowego dobra trzeba bezustannie podnosić wzrost i jakość produkcji. Brak rąk robotników uzupełniają ich głowy różnymi pomysłami racjonalizatorskimi i wynalazczymi. Przy coraz to lepszych metodach pracy wielu robotników osiąga doskonałe wyniki, zostają przodownikami. Dotychczas nasz zakład liczy ich pięćset. Z tej liczby 50-ciu odznaczonych. Racjonalizatorów — stu, odznaczonych 10. Dzięki nim bezustannie wzrasta wytwórczość. W roku 1951-szym nasz zakład zdobył Sztandar Przechodni Centralnej Rady Związków Zawodowych.

Wytapiacz, Mieczysław Banasik, ma lat 38. Bezpartyjny. Zagadnięty znienacka, odparł szczerze:

— Moją bolączką życiową jest zbyt małe mieszkanie. Miłe i przytulne, ale pokój z kuchnią na sześć osób. Koniecznie przydałoby się dwupokojowe. Na terenie Sosnowca ciężko jednak takie dostać. Reszta spraw życiowych — nie mogę narzekać. Wszystko układa się tak, jakem tego przed wojną przez tyle lat daremnie pragnął. Mam pracę, mam zarobek od tysiąc dwieście do tysiąc trzysta złotych miesięcznie, zdrowie dopisuje, dzieci dobrze się uczą, a szczególnie najstarszy syn. Ma zamiłowanie do muzyki, więc poślę go w przyszłym roku do szkoły muzycznej. Na pewno poślę, bo są możliwości.

Banasik rozpoczął pracę w hucie „Sosnowiec“ w roku 1938-ym. Z początku układało mu się życie znośnie, lecz wnet się pogorszyło, bo w następnym roku pracował tylko trzy dni w tygodniu.

Spawacz Tadeusz Dziembor ma bardzo realne życzenie. Jeszcze lepszą i wydajniejszą pracą poprawić sobie warunki życiowe. Wprawdzie zadowolony jest z obecnych, ale jeszcze lepiej chce żyć. Młody, liczy dopiero 28 lat, więc wiele stawia przed sobą wymagań. Mieszka trochę wygodniej od Banasika. Ma także pokój z kuchnią, lecz mniejszą rodzinę, więc nie ciasno. W hucie „Sosnowiec“ pracuje od roku 1946-go.

Dziś zarabia przeszło tysiąc trzysta złotych. — Lecz nie myślę na tym poprzestać — mówi dumnie. — Muszę bić normy!

Tadeusz Górski, obecny sekretarz Rady Zakładowej, przed dwoma laty był ślusarzem. Za dobrą pracę otrzymał odznakę przodownika, niebawem wysłano go do Wojewódzkiej Szkoły Związków Zawodowych w Katowicach, po powrocie wybrany został do Rady Zakładowej.

— Wrócę jeszcze kiedyś do ślusarki — powiada — aby zasłużyć na nową odznakę przodownika.

Przy ulicy Chemicznej dymią kominy fabryki zwanej : Śląsko - Dąbrowskim Zakładem Przemysłu Wełnianego. Zakład to dużego typu, o pełnym cyklu produkcyjnym jak: sortownia, pralnia, zgrzeblarnia, czesarnia, przygotowalnia, przędzalnia, niciarnia, motarnia, pakownia i jako oddzielny agregat — karbonizacja. W każdym z tych działów huczą maszyny — praca wre w pełnym tempie.

Załogę stanowią w większości kobiety i młodzież. Kobiet 86 procent, młodzieży czterdzieści procent. Zrozumiałe dlaczego: mężczyźni odchodzą do przemysłu ciężkiego. Tu wystarczą ręce kobiet i młodziezy. Szczególnie młodzież od 14-tu do 16-tu lat — oprócz zarobku — znajduje tu szkołę zawodu i pracuje na specjalnych typach maszyn po kilka godzin dziennie, a resztę czasu poświęca na naukę teoretyczną. W świetlicy jest kilka zespołów, trzy kursy ideologiczne pierwszego stopnia, trzy drugiego i kółko samokształceniowe. Od 1-go października bieżącego roku będzie osiem kursów. Rosną kadry, cała prawie załoga z kadr, nawet dyrekcja... — dyrektor Heftmański urwał w tym momencie zakłopotany, wszak również on poprzez szkolenie w zakładzie awansował na dyrektora.

Jest jeszcze wiele innych udogodnień pracy i życia robotników. Jest na przykład żłobek z 48 łóżkami, gdzie matki pozostawiają dzieci na cały tydzień pracy, to jest od poniedziałku do soboty, lub na tyle, na ile potrzebują. Jest też przedszkole dla 48 dzieci, oraz hotel dla przybyłych z dala robotników. Produkcja przy obniżce kosztów o 9.5 procent wzrosła od 1945-go roku o 250 procent.

Zdobyliśmy w pierwszym kwartale bieżącego roku, pierwsze miejsce, a w drugim — trzecie miejsce, co łącznie postawiło nas na pierwszym miejscu i przyśpieszyło termin wykonania półrocznego planu o dwa tygodnie.

Dla uczczenia XIX Zjazdu WKP(b), 35-ej Rocznicy Rewolucji Październikowej i Wyborów do Sejmu, załoga naszego zakładu podjęła zobowiązanie zwiększenia produkcji w czwartym kwartale na sumę 355 tysięcy złotych.

Józef Pogan

Nawet strzępy oskarżają

Drukujemy poniżej fragment z książki Sławoj-Składkowskiego, premiera rządu sanacyjnego. Książka-pamiętnik, wydana w 1936 r, pod tytułem „Strzępy meldunków“. Wybrany fragment dotyczy otwarcia Sejmu w r. 1928 Sejmu, który po zamachu majowym jeszcze nie dogadzał Piłsudskiemu. Został też w dwa lata rozpędzony Ale i w 28 r nie żenował się już ani Piłsudski, ani jego premier. Bezwiedny cynizm, głupotę i potworność rządów „branią za mordę“ — oto co nam przypomina ten fragment pamiętnika Składkowskiego.

„Wybory do Sejmu 1928 roku dały dla stronnictwa rządowego wyniki bardzo skromne. Pisma opozycyjne już przed otwarciem Sejmu głosiły o popełnionych nadużyciach wyborczych ze strony władz administracyjnych, oskarżając o nie rząd.

Samo otwarcie Sejmu w tych warunkach nie zapowiadało się spokojnie, wobec czego Pan Marszałek, jako premier rządu, podjął się dokonać go osobiście.

Na parę dni przed początkiem obrad sejmowych wezwany zostałem do Pana Marszałka który oświadczył mi, co następuje: „Otwarcia nowego Sejmu dokonam osobiście, w imieniu Pana Prezydenta. Mają tylko złożyć przysięgę i wybrać przewodniczącego, więcej nic. (Po chwili namysłu). Jeżeli będą mi chcieli przeszkadzać, to wprowadzę do Sejmu policję... Co to jest!... I to mi bardzo odpowiada, że pan nosisz mundur Bo pan mi odpowiadasz osobiście za porządek w Sejmie. Za dwa dni zameldujecie mi, czy jesteście gotowi. No, możecie odejść!“

Odpowiedziałem jak zwykle: „Rozkaz Panie Marszałku!“ poczem zaproponowałem, by może dla utrzymania porządku w Sejmie użyć straży marszałkowskiej

Pan Marszałek machnął ręką i odpowiedział: „Nie chcę znać waszej straży marszałkowskiej!“

Tu Pan Marszałek odwrócił się do swoich papierów, nie podając mi ręki na pożegnanie.

Teraz, w tajemnicy zacząłem montować plan użycia policji w sali sejmowej, na wypadek oporu posłów, przeciwko zarządzeniom Pana Marszałka“.

Otwarcie sejmu odbyło się następująco:

„Pan Marszałek bierze z rąk porucznika Zaćwilichowskiego zwinięty w trąbkę — akt otwarcia Sejmu i wychodzi do sali sejmowej Kieruje się w stronę fotela przewodniczącego i, wśród grobowej ciszy, zaczyna rozwijać Orędzie Prezydenta Rzeczypospolitej. Porucznik Zaćwilichowski i ja stoimy tuż za Panem Marszałkiem. Cały Sejm zastygł w oczekiwaniu...

Nagle, na lewej stronie Sejmu, między pierwszymi a drugimi drzwiami. wiodącymi na korytarz, w tylnych rzędach, niewielka grupa posłów zaczyna krzyczeć: „Precz z faszystowskim rządem Piłsudskiego!“, później, za chwilę, znów — cisza.

Pan Marszałek przerywa rozwijanie papieru i mówi w kierunku krzyczących komunistów: „Panowie będziecie wyrzuceni z sali!“

Ale krzyki ich wzmogły się z tym większą siłą.

— „Wyrzucić ich“ — powiedział Pan Marszałek, odwracając się do mnie i wskazując ręką komunistów.

Wybiegłem do hallu głównego i krzyknąłem w kierunku stojącego przy szatni Komisarza Rządu Jaroszewicza: — „Pierwszy rzut!! — już!“

Jaroszewicz wybiegł przed Sejm.

Za chwilę, która wydała mi się dość długą, wpadł do hallu biegiem dziesiątek policjantów bez karabinów, prowadzony przez Jaroszewicza i komisarza policji.

Wzniesieniem ręki zatrzymałem begnących i krzyknąłem: „Chłopcy, komuniści przeszkadzają mówić Komendantowi. Wyrzucimy ich, za mną!“

Teraz biegłem korytarzem, a za mną stukali obcasami policjanci.

— Byle tylko nie omylić się co do drzwi — myślałem.

Oto drugie drzwi szklane, otwieram je szybko i wbiegam do sali, a za mną wojewoda Jaroszewicz z policjantami.

Widzę pobladłych komunistów i wskazuję ich policjantom.

W tej chwili jednak „Sejm“ zaczyna krzyczeć i ruszać się z miejsc

Moi policjanci chwytają komunistów, by ich wyprowadzić z sali.

Robi się zakorkowanie. Moi policjanci nie mogą wyciągnąć w ciasnym przejściu sali komunistów, trzymanych przez szereg posłów. Nawet każdy policjant jest „miłosiernie“ osadzony na miejscu przez paru, wpiętych w jego mundur, „suwerenów“

Siła złego na jednego. Jesteśmy oblepieni i zablokowani przez posłów.

Na szczęście Jaroszewicz wprowadza w tej chwili drugi dziesiątek policjantów.

Zjawienie się ludzi z karabinami pozwala nam wytargać z sali komunistów.

Wychodząc z sali, oglądam się na Komendanta. Stoi on spokojnie wsparty na szabli, samotny i zrównoważony w tym chaosie borykania się i walki.

Komunistów każę odprowadzić do komisariatu policjantom z karabinami, a pierwszy rzut z pistoletami każę mieć, na wszelki wypadek, jeszcze w pogotowiu.

Policja opuszcza Sejm.

Gdy wszedłem na salę posiedzeń, Pan Marszałek czytał już Orędzie Pana Prezydenta.

Zaczyna się składanie ślubowania przez posłów, w czasie którego Pan Marszałek przechodzi do pokoju ministrów

Spostrzegam, że Komendant jest bardzo zmęczony. Oddycha szybko, jest blady i spocony.

Proponuję Panu Marszałkowi, aby się położył na kanapę, ale odmawia i za chwilę odjeżdża do Belwederu, każąc tam powiadomić się o przebiegu wyboru przewodniczącego Sejmu.

Po ukończeniu pierwszego posiedzenia Sejmu zwolniłem policję i udałem się zameldować o przebiegu posiedzenia

Wyszły nadzwyczajne dodatki pism o zajściach w Sejmie. Pisma opozycyjne uważały, że pohańbiłem godność ministra, wyrzucając osobiście z policją komunistów z sali“.

ZYGFRYD SAWKO

SZCZECIN

Łoskotem głuchym grzmiały mosty.
Kłębiaste dymy parowozu
padały w noc
jak warkocz rudy,
W pamięci został
Z tej podróży
Kół stukot
I dźwięk stali —
Mosty. Niebo
iskrami się powlekło
kiedy nad czarną w mroku
rzeką
podróżni nocą przejeżdżali.
Listopadowa noc w Szczecinie.
Załogi statków śpią...
Na wodę
opadła mgła
i gdzieś jak pąk
wśród masztów lampa się rozwija.
Statek na odgłos śruby
drgnął —
ładunkiem się nasycił,
mija
dźwigi portowe mgłą
spowite.
Szczecin mi podał
ranny brzask...
Dziś port odwiedzam ten powtórnie.
Znajomy deszczyk w mroku prószy
i obrót śruby mąci Odrę.
Czemu tak trudno dobyć głosu
kiedy coś nagle nas poruszy —
nawet
blask latarń,
nawet dźwig
w mieście, gdzie wszystko,
każdy kamień,
głos gwizdków
bliski ci, znajomy,
gdzie przyjeżdżamy,
jak po latach
przyjeżdża się do swego domu.

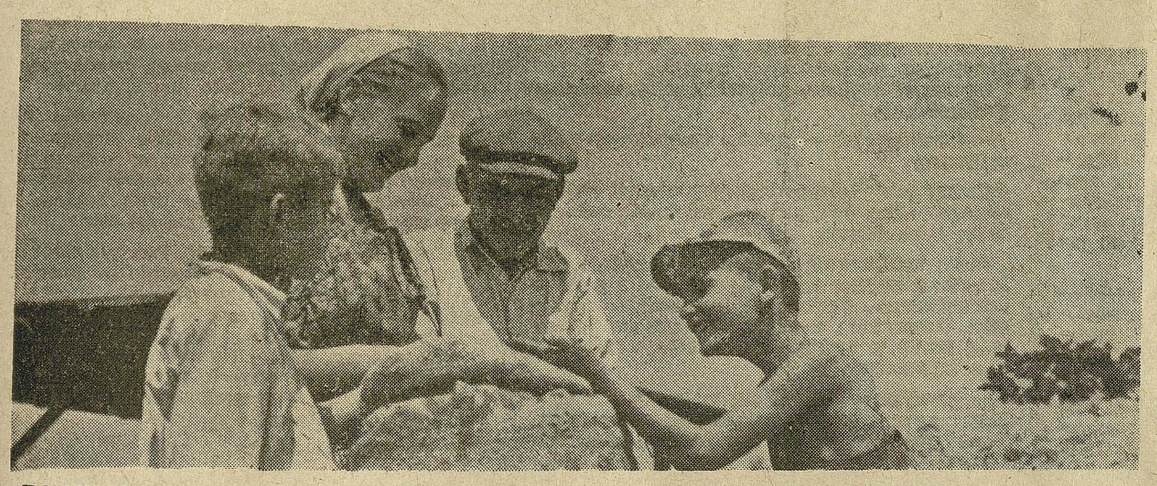

PAWEŁ DEJNEKA

LIST NA KRAJ I ZAGRANICĘ

POCHODZĘ rodem z Lubelskiego. Osiedliłem się na Ziemiach Odzyskanych wiosną 1947 roku. W miejscowości tej jest wielu rolników z Lubelszczyzny. Dzisiaj słyną oni na okolice jak pierwszorzędni gospodarze a to znaczy, że również z obowiązków wobec Państwa wywiązują się przykładowo. Ta „Syberia" jak wróg nazywał w początkach Ziemie Odzyskane okazała się Ziemią Obiecaną. W rzeczy samej mówię o pow. Braniewo. Pierwsze wrażenia i ja miałem nienajlepsze. Zniszczone wojną gospodarstwa i wszechwładne ugory mogły zniechęcić największego optymistę. A najdziwniejsze wrażenie wywierali ci, co zagarnęli najbogatsze wiano, w maszynach, zabudowaniach, bydle i ziemi. Od ich spekulacji i kombinacji, od ich ekonomskich zmówień do pracy i hulaszczych popisów wiało niepewnością i tymczasowością. Takie nastroje wytwarzali również grasanci, pomykający za szabrem, a diabli wiedzą czy często nie agenci haniebnego „Nie". Ale z niczego nie zostaje się sławnym rolnikiem. Toteż w podstawowych masach, które tu napłynęły objawiło się w nowej postaci to, co w nich zawsze żyło: ukochanie ziemi i niezmierna pracowitość. Przyszli tu na surową ziemię, na powojenne zniszczenia. Ale mierząc wzrokiem kraj aż po horyzont od razu poczuli wolność. Czego się mieli lękać? Urobienia sobie rąk po łokcie? A bo to nie znali harówki? Znali harówkę, której owoców nigdy pożywać nie

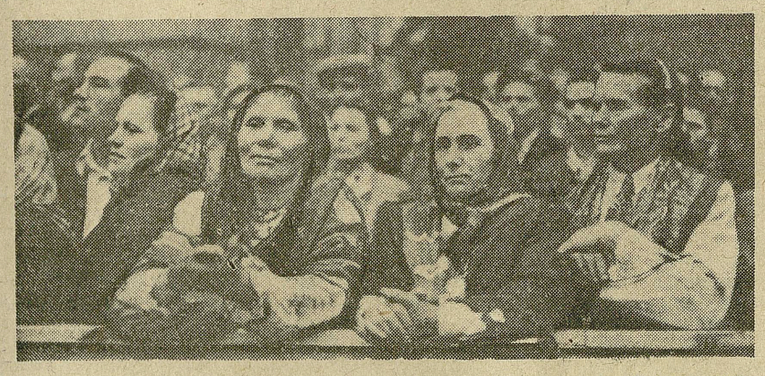

Foto — CAF

dane im było. Teraz poczuli, że owoce swej pracy będą zbierać. Nie umiem opisać tego nadzwyczajnego stanu ducha, jaki poruszał tutaj ludzi w pierwszych latach. I mnie on ogarnął, choć przybyłem o dwa lata później. Przecież największą prawdą jest to, że chłopstwo biedne z przerośniętych rodzin ciągnęło tu szukając szczęścia. I nic tej nadziei nie przesłoni. Potwierdza ją w sposób oczywisty to, com sam widział: setki rodzin zagnieżdżało się tu z dobytkiem, który śmiech mógł budzić: kuferek, krzesełko, niecki i koza. Na przykład z Jarosławskiego rzadko kto przybył z krową lub koniem. I dorobił się. Dzisiaj rzadkością jest chłop z jedną krową albo jednym koniem. Wydajność z ha podniosła się tak, że diabli wzięli opinię, w pierwszych latach nienaruszalną, jakoby te ziemie niezdatne były do większego urodzaju, skoro za Niemców słabo rodziły. W ubiegłym i w tym roku wydajność z ha w porównaniu nawet nie z 1945-46 r. ale z 49 r. wzrosła w wielu okolicach o 7 i więcej metrów.

Ileśmy się przez te lata nauczyli politycznie, jak innym już mówimy językiem, świadomym socjalistycznej treści życia naszej ojczyzny. Przed kilku laty umieliśmy i rozumieliśmy mniej. Ale w tym co główne, bez właściwych jeszcze nazw, bez zgruntowania zawiłości i bez znajomości jutra tak jasnego i wielkiego, jak to pokazuje Plan 6-letni — przecież na początku r. 1947, jeszcze wśród wielu ugorów i trudności, choć tu w braniewskim powiecie wtykano chłopom wprost do rąk kartki za Mikołajczykiem, wzięli oni kartki z twardych rąk robotników. Zgodne to było z logiką nowego porządku rzeczy, a że był on naszym porządkiem, czuł to przez skórę każdy mało i średniorolny chłop. Ziemie macierzyste zrastały się pod władzą robotniczo-chłopską. Dzięki tej władzy otwarło się tu życie dla milionów. Kto więc przeciw takiej władzy, ten przeciw naszemu życiu. Myśmy tu już rzucili ziarno. Myśmy już czuli dumę siewcy, choć słów nam jeszcze brakło dla nazwania po imieniu tej dumy i siły. Kiedy przybyłem wiosną 47 r. nasłuchałem się wielu skarg i żalów. Obracały się one wokół bezdusznych urzędników, nieraz samodzierżawców, wokół konfliktów z PUR-em, wokół panków kułackich, którzy w niewolę brali przy pomocy maszyn, koni i lichwy. Ale przez te żale i skargi przedzierała się wiara chłopa w to, że powyżej tych pętaczyk, tam w górze jest opiekun, którego oddziela wróg, też sięgający jeszcze wysoko. Aż do sejmu, aż do rządu. Że zrozumiał to chłop na Ziemiach Odzyskanych — pokazał styczeń 1947 r. Z tego stycznia wyszły giganty 6-latki, wyrastają spółdzielnie produkcyjne i wyrosło nasze prawo zasadnicze, Konstytucja Lipcowa.

Nadmieniłem poprzednio, że wielu rolników w powiecie braniewskim pochodzi z woj. lubelskiego ale jeśli idzie o skład dzielnicowy spotkasz tu ludzi z całej Polski. O tym trzeba dziś bardziej pamiętać, niż przed kilku laty. Wówczas ta różnorodność tworzyła jeszcze jedną trudność. Dziś, kiedy każdy wniósł do wspólnych stosunków coś swoistego a dobrego — dziś jest tu Polska tak wspólna i tak jednolita (właśnie w swej różnorodności) jak żadna z ziem starych. Tu jak się odzywa „lubelak", mierzy swą myśl myślą wszystkich ziem, bo zewsząd tu jesteśmy. Miejscowi, z prastarych czasów wywodzący się Polacy w tej różnorodności poczuli dopiero swą jedność z macierzą, tak bogatą w ludzi różnych a robotnych. Wytworzył się u nas typ nowego obywatela, czujnego i gotowego do odparcia wszelkich zakusów wroga. Wszak szkołę zastraszeń różnej maści my najlepiej znamy. Ale wściekła kampania zagraniczna przeciw naszym Ziemiom Odzyskanym nie wstrząsa naszymi nerwami. Pięć lat pyskowania na ten sam temat znudziłoby umarłych, a cóż mówić o żywych. Niech szczekają, sami w nas wytworzyli puklerz głuchoty na puste gadanie. A na to, co leży u podstaw wszystkich szczekaczek, nasza czujność wzrasta i wyraża się coraz większym wzmacnianiem życia gospodarczego, coraz mocniejszym poparciem w każdym celu naszego Rządu i Partii.

Kiedyż pojmą ci rozwrzeszczeni straszyciele, że lud polski, przeszedłszy doświadczenia sanacji, wojny i okupacji innym jest już od tego, jakim był przed 39 rokiem. Gnębiono go i oszukiwano. W 44 i 45 roku poczuł się i spotkał się po raz pierwszy z prawdą, która go wiedzie i rok za rokiem sprawdza się, umacniając w nim pewność człowieka i pewność Polaka. W tę rzeczywistość ludzie u nas wrastają coraz mocniej. Drogowskazem naszym jest wielki i bohaterski Związek Radziecki. Nie tylko w odniesieniu do bohaterstwa, jakim w ostatniej wojnie wskazał narodom wzór patriotyzmu i internacjonalizmu ale także w odniesieniu do kolosalnych prac narodów radzieckich, które pokazują już światu jego wspaniałe jutro. Ludzie, którzy myślą, którzy nie są zaślepieni nienawiścią klasową, a tacy tworzą dziś nasz socjalistyczny naród — śmiało mogą powiedzieć, że szczęśliwi są dlatego, że żyją w epoce, która zrodziła leninizm-stalinizm, aby najważniejszy problem wszystkich czasów wreszcie rozwiązać na naszych oczach i w naszej walce i pracy: zniesienie wyzysku człowieka przez człowieka, stworzenie bezklasowego społeczeństwa.

Głuptaki mogą wątpić, zdrajcy mogą plwać wściekłą śliną, ale śmiech to pełen niepokoju i rozpaczy po utraconych przywilejach, majątkach i wpływach, które nie wrócą, tak jak nie wróciło niewolnictwo, jak nie wrócił feudalizm.

Nadchodzą Wybory. Naród polski, składający się dziś z robotników, chłopów i inteligencji pracującej, w całej pełni poprze najlepszych spośród siebie obywateli — do Sejmu. Szczekacze imperializmu i małe ich pieski po jakiemu myślą o naszych Wyborach?

„Panowie" — za przeproszeniem — po staremu policjant stałby z pałką gumową. Wiemy, że odżałować nie możecie. Cóż, tej przyjemności zrobić Wam nie możemy. „Panowie", za przeproszeniem — nawet to nie rok 47, kiedy jeszcze wróg mógł walczyć jawnie mandatem zdrady. Dla naszych ziem rząd przystępując do pierwszych wyborów wysunął jako jedno z naczelnych haseł zasiedlenie i zagospodarowanie do pełna Ziem Odzyskanych. A było ugorów jeszcze na 2—3 miliony ha. Czy to zrealizowano? Rząd i my lud pracujący? Popytajcie sceptyków sprzed lat. Dzisiaj odbudowane wsie i miasta tętnią wkrąg nowym życiem. Do drugich Wyborów idziemy już w Ogólnonarodowym Froncie Wyborczym. Nasze wybory będą dlatego najbardziej demokratyczne na świecie. Mówię wam to — „panowie", za przeproszeniem — z mojej wsi Sawity, która jak w poprzednich latach jest przodującą w gminie. W tym roku odstawiła zboże pierwsza w 100 proc., jednego dnia.

Paweł Dejneka

ANTONINA BARTOSZEWICZ

W STRONĘ KLASYKI RADZIECKIEJ (II*)

Pozytywni bohaterowie „Czapajewa"

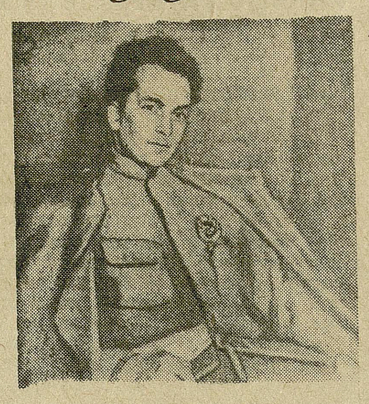

Mal. D. A. Furmanowa

„CZAPAJEW" Dymitra Furmanowa, opublikowany na początku roku 1923, był, jak jednomyślnie stwierdza cała krytyka współczesna, jedną z pierwszych powieści radzieckich, w których bolszewika przestało się rozpoznawać tylko po *„skórzanej kurtce"*; pod piórem Furmanowa stał się on żywą, pełną postacią o przekonywających cechach postępowania i bogatym życiu psychicznym. A więc centralny problem książki to tak istotny dzisiaj dla naszej literatury — która *„człowieka w skórzanej kurtce"* zastępuje nieraz drewnianym schematem sekretarza organizacji partyjnej — problem pozytywnego bohatera? Tak — i dlatego właśnie warto się bliżej zapoznać z „Czapajewem", bo, chociaż ukazało się ostatnio już piąte polskie wydanie powieści, krytyka nasza nie zdążyła jeszcze zwrócić na nią baczniejszej uwagi.

Historyczne i aktualne znaczenie klasycznego dzieła Furmanowa trafnie uwypuklił J Naumow w szkicu krytyczno-biograficznym, obszernie informującym o życiu i pracach autora „Czapajewa" („D. A. Furmanow", Moskwa—Leningrad, 1951). Furmanow swoją powieścią posunął znacznie naprzód bogatą literaturę realizmu socjalistycznego, poświęconą heroicznym zmaganiom narodu radzieckiego w latach wojny domowej. W okresie panoszącego się jeszcze w powieści uwielbienia dla przejawów anarchicznej żywiołowości zrywów rewolucyjnych, autor „Czapajewa" ukazał przekonywająco najistotniejsze, decydujące znaczenie klasy robotniczej i jej awangardy — partii komunistycznej jako organizatora i przywódcy masowego ruchu ludowego. W okresie NEP-u, kiedy trockiści, zwalczając posunięcia władzy radzieckiej, wystąpili z koncepcjami wrodzonej jakoby „antyrewolucyjności" wsi, której proletariat rzekomo nie jest w stanie poprowadzić za sobą do walki o nowy ustrój, Furmanow dobitnie ukazywał narastanie socjalistycznej świadomości wśród chłopstwa, rysował jego rewolucyjny potencjał, przedstawiał zwycięską praktykę sojuszu robotniczo-chłopskiego. Autor „Czapajewa" — *„jeden z pierwszych wśród pisarzy radzieckich odtworzył historyczne poruszenie mas podczas rewolucji, ich świadomy udział w walce politycznej, ukazał naród jako twórcę historii"* (Naumow). „Czapajew" powstawał w czasach, kiedy powieść radziecka pracowała nad stworzeniem szeregu wspaniałych postaci komunistów — uczestników wojny domowej. Utwór Furmanowa odegrał olbrzymią rolę w tym doniosłym procesie kształtowania się nowego oblicza bohatera literatury realizmu socjalistycznego.

Powieść Furmanowa wyposażona została właściwie we dwóch pełnych, szczegółowo zarysowanych bohaterów pozytywnych. Jednym z nich jest komisarz polityczny dywizji czapajewskiej — Fiodor Kłyczkow; drugim — legendarny „generał ludowy" okresu wojny domowej — Czapajew. Pierwszy reprezentuje rozum polityczny partii bolszewickiej; drugi — żywiołowość chłopskiego zrywu do walki o władzę radziecką. Wzajemny stosunek obydwu postaci stanowi oś ideologiczną utworu, wyznacza jego najistotniejszą, najgłębszą problematykę polityczną. Od początku powieści z największą uwagą śledzimy kształtowanie się gorącej przyjaźni obydwu ludzi, przyjaźni, która oparła się na trwałym fundamencie głębokich związków ideowych; na każdej niemal stronie wraz z autorem stawiamy niecierpliwe pytania: w jaki sposób Kłyczkow przełamie wszystkie anarchizmy, wszystkie uprzedzenia wobec „sztabów", wszystkie przejawy zacofania chłopskiego partyzanta — Czapajewa? Czy Czapajew łatwo się podda „niewoli duchowej" — wskazaniom i uwagom politycznym komisarza swojej dywizji? Obraz ideowego wzrastania i dojrzewania Czapajewa pod wpływem Kłyczkowa to symboliczny skrót masowego procesu formowania się nowej, socjalistycznej świadomości, wychowania przez partię narodu radzieckiego. W fakcie takiego właśnie wyboru i ukształtowania głównych postaci powieści tkwi siła ideowej i artystycznej wymowy sylwetek obu bohaterów pozytywnych „Czapajewa".

Kłyczkow — w niektórych rysach portret samego Furmanowa, który przez kilka miesięcy 1919 roku pracował jako komisarz dywizji czapajewskiej — należy do tej żelaznej kadry bolszewików — pracowników politycznych armii, których ogromne zasługi dobitnie podkreśla „Historia WKP(b)". *„Bez komisarza wojskowego nie mielibyśmy Armii Czerwonej"* — stwierdził Lenin, uwydatniając w ten sposób doniosłe znaczenie ludzi partii w dziele organizacji sił obronnych państwa proletariackiego W wyborze i rysunku postaci Kłyczkowa ujawniła się ta zasada estetyczna realizmu socjalistycznego, którą ogólnie sformułował współczesny krytyk radziecki, B. Riurikow: *„Gdy mówimy o postaci bohatera pozytywnego, przede wszystkim oczywiście zwracamy się do postaci bolszewika, organizatora walki o komunizm, przywódcy mas ludowych. Znaczenie tych postaci polega na tym, że w nich właśnie znajduje wyraz artystyczny największe prawo naszej epoki — przodująca rola partii komunistycznej w walce narodu".* („Kto to jest pozytywny bohater?", „Nowa Kultura", Nr 35 z b.r.). Tak też uformował swoją powieść Furmanow, przeciwstawiając się stanowczo wszelkiej apoteozie chaotycznej i niezorganizowanej żywiołowości, uwydatniając w obrazach artystycznych naczelne *„prawo naszej epoki"*. Dwie istotne cechy pisarstwa uderzają szczególnie w literackim ukształtowaniu komisarza Kłyczkowa. Pierwsza z nich — to umiejętność przedstawienia bohatera w procesie stałego rozwoju, ukazania nieprzerwanej linii wstępującej ewolucji jego charakteru osobistego, stylu postępowania. Kłyczkowa poznajemy w walce i działaniu, w trudnych zmaganiach z własnymi słabościami. Furmanow wcale nie obciadrza swego bohatera cechami monumentalnej niewzruszoności posągów.

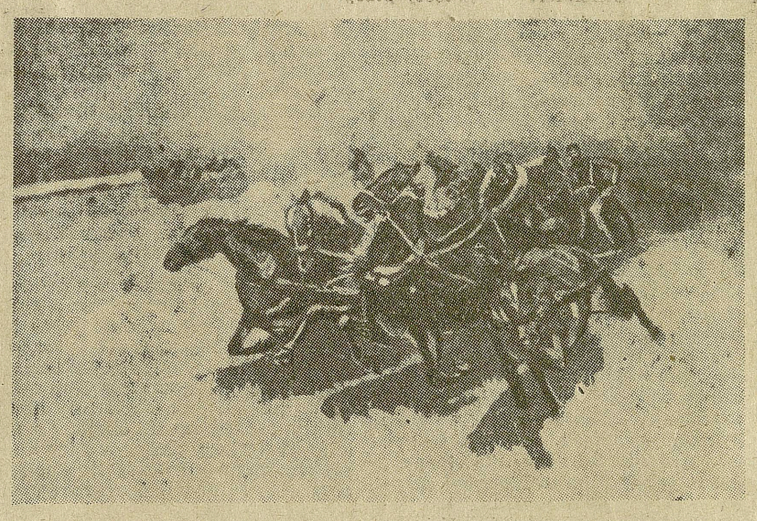

Mal. M. B. Grekow

Przeciwnie — nie waha się nawet odsłonić pewnych przejawów tchórzostwa, *„tracenia głowy"* podczas pierwszej bitwy, aby w dalszym toku powieści ukazać osiąganie przez Kłyczkowa szczytów prawdziwego bohaterstwa, które nigdy nie przychodzi samo, które trzeba zdobywać ciężkim trudem. Kłyczkow nie jest człowiekiem, znajdującym się na niebotycznych wyżynach intelektualnych, piastujących zawsze w zanadrzu wszechmogące panaceum na wszystkie najpoważniejsze trudności. Posiada on głęboką wiedzę marksistowską, która pomaga mu zrozumieć, a często także usunąć nastręczające się przeszkody; ale jednocześnie w zetknięciu i walce z nimi jego wykształcenie teoretyczne pogłębia się i rozszerza, nabiera nowego charakteru. Druga istotna cecha rysunku postaci komisarza dywizji czapajewskiej została trafnie uwydatniona przez krytyka radzieckiego. W. Ozierowa, który, wskazując na zalety Kłyczkowa jako *„łowcy dusz"*, stwierdza jednocześnie: *„Osiągnięcie Furmanowa jest tym cenniejsze, iż w owym czasie nie wszyscy pisarze rozumieli, że właśnie partyjność decyduje o bogactwie świata wewnętrznego bolszewika"* („Postać bolszewika", „Wieś", nr 43 z ub. r.). Istotnie, to właśnie olbrzymie wyrobienie polityczne, partyjna w każdym calu postawa ideowa rozstrzyga o wszystkich sukcesach Kłyczkowa, a zarazem odsłania całą czystość i szlachetność jego wnętrza duchowego, całą czystość pięknego życia człowieka partii *„w owych miesiącach i latach najwyższego wzlotu duchowego i najwyższej moralnej subtelności"*.

Istotną wartość powieści Furmanowa stanowi to, że jej drugi bohater pozytywny — Czapajew nie reprezentuje w żadnym wypadku kalkowanej odbitki Kłyczkowa. Przeciwnie, Czapajew, będąc tak samo postacią pozytywną, odznacza się bogactwem nowych, zindywidualizowanych cech charakteru i postępowania, które ściśle wypływają z uwarunkowań jego pochodzenia społecznego, rodzimego środowiska, z faktu, że jest on typowym reprezentantem mas chłopskich, występujących do walki o władzę radziecką. Tak ściśle określając genezę stylu życia i działania Czapajewa, Furmanow nie popada przecież w wulgarno - socjologistyczne schematy, w fatalistyczną koncepcję losów człowieka, który nigdy nie może się pozbyć „piętna" pochodzenia. Pisarz bowiem umiał ukazać rozwój charakteru Czapajewa, jego dojrzewanie polityczne, potrafił — z całą precyzją naukową biegłego marksisty— określić niezmierzone bogactwo przyczyn różnych z pozoru może niewytłumaczalnych „wyczynów" Czapajewa, a więc jednocześnie umiał zarysować taktykę jego wychowania. Szczególnie uderza obszerna i dokładna podbudowa teoretyczna powieści, świetna znajomość praw rządzących historią, biegłe opanowanie leninowskiej teorii roli chłopstwa w rewolucji socjalistycznej. Trzeba podkreślić, że w fakcie doskonałej znajomości teoretycznego podłoża opisywanych procesów zawiera się w dużej mierze siła sukcesów powieści. Furmanow z przekonywającą plastycznością spostrzeżeń naocznego świadka, uczestnika i obserwatora uwydatnił teoretyczne i praktyczne podłoże cech charakteru i postępowania tytułowego bohatera. Pisał: *„Pobyt, wprawdzie bardzo krótki, w grupie anarchistów, chłopska przeszłość Czapajewa i zamaszysta jego natura, niejednolita, bezplanowa, niezdyscyplinowana — wszystko to nastrajało go na ton anarchistyczny, popychało do wyczynów partyzanckich"*, *„Czapajewowie także bywali tylko w owych dniach — kiedy indziej ich nie było i być nie mogło: zrodziły Czapajewa tamte masy, w tamtym momencie i w tamtym swoim stanie"*. *„Pewnie, że w owych czasach naprawdę trzeba było właśnie takiego dowódcy, zrodzonego z tej chłopskiej masy, organicznie wcielającego wszystkie jej właściwości"*. Jednocześnie Furmanow nie popadł w jednostronność „demaskowania" Czapajewa, przedstawił bowiem żmudny i powolny proces dojrzewania ludowego dowódcy, wyzbywania się dawnych anarchistycznych nawyków i wyskoków. Ale powieść Furmanowa nie przynosi przecież tylko precyzyjnej, teoretycznej, naukowej analizy istoty charakteru Czapajewa; ukazuje bowiem całość zaobserwowanych i teoretycznie pogłębionych procesów w bogactwie zróżnicowanych obrazów artystycznych, a nade wszystko w świetnie zindywidualizowanych dialogach Czapajewa i komisarza, dokładnie oddających porywczość i gwałtowność *„generała ludowego"*, opanowany spokój Kłyczkowa, który też przecież nieraz wypada z równowagi nauczyciela.

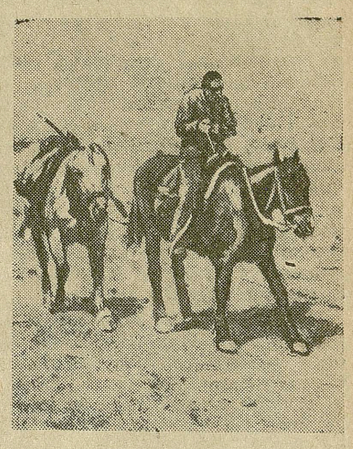

Mal. M. B. Grekow

Do istotnych osiągnięć książki należy zaliczyć przenikliwą analizę bohaterstwa w ogóle i bohaterstwa Czapajewa w szczególności. Czapajew jest jednym z najpopularniejszych w ZSRR dowódców okresu wojny domowej. Ułożono o nim niezliczoną ilość pieśni, cuda opowiadano o jego męstwie (porównaj zbiór utworów ludowych o Czapajewie, zebranych w książce p.t. „Czapaj", Moskwa, 1938). Dla masy chłopskiej tych okręgów, gdzie walczył, skąd rekrutowały się szeregi jego oddziałów, Czapajew był uosobieniem władzy radzieckiej, siły zmagającej się o nowe, lepsze życie. Ludowa wyobraźnia spowiła tę postać w tęczową zasłonę legendy, uczyniła z Czapajewa niemal baśniowego bohatera o nadludzkich właściwościach. Intensyfikowaniu barw w tym świetnym obrazie legendarnego dowódcy sprzyjał także fakt bohaterskiej, omglonej tajemnicą śmierci Czapajewa. Przed Furmanowem, przystępującym do pracy nad powieścią, pojawiła się trudność zasadnicza: jak ująć postać Czapajewa? Czy, naśladując legendę, położyć główny nacisk na jego niezwykłe wyczyny wojenne, które tak fascynowały ludową fantazję, czy też przedstawić Czapajewa w całym realistycznym bogactwie jego historycznej, zmagającej się ze słabościami i dawnymi nawykami indywidualności? Furmanow wahał się przez jakiś czas, wreszcie zdecydował się przedstawić Czapajewa *„ze wszystkimi grzechami i zaletami"*, jak czytamy w dzienniku pisarza; zobrazować go w

(dokończenie na str. 7)

*) Patrz: R. Hładko — W terminie u A. Tołstoja „Wieś" nr. 38. 1952 r.

TADEUSZ MURAS

KONFLIKTY W POWIEŚCI WIEJSKIEJ

POWIEŚĆ o tematyce wiejskiej pragnąca zobrazować konflikty nurtujące współczesne środowisko chłopskie — klasowe konflikty o charakterze antagonistycznym i nieantagonistyczne konflikty świadomości pracującego chłopa, postawionego wobec polityki władzy ludowej i budującego podstawy socjalizmu — rzadko oparta jest na gruntownym i odważnym przemyśleniu historii średniaka w ciągu ośmiolecia Polski Ludowej.

Przypomnijmy sobie pierwsze lata. Reforma rolna, osadnictwo na Ziemiach Odzyskanych, odpływ do przemysłu ogromnej armii, „zbędnych rąk" wszystko to zaspokoiło chłopski głód ziemi. Niespotykane w warunkach przedwojennych zapotrzebowanie na artykuły rolne, uniezależnienie chłopa od kułackich „usług" i spekulacji, brak troski o spłaty i działy rodzinne, stworzyły poczucie pewnej koniunktury i nadzieje indywidualnego wzrostu. Możliwość urzeczywistnienia aktualnych nadziei, przy osiągniętym przez niego nowym stanie posiadania, rozmach jego osobistych ambicji, jego indywidualne możliwości materialne i umiejętność dostosowania produkcji do potrzeb ówczesnego rynku — były to czynniki, które oddziaływały również ujemnie — przesłaniały staremu i nowemu średniakowi możność zrozumienia historycznych korzeni przemiany i nieuniknionych perspektyw dalszego rozwoju zdobyczy konsekwentnej rewolucji burżuazyjno - demokratycznej w kierunku socjalizmu.

Pisarze cofają się przed takim zarysowaniem wyjściowej sytuacji współczesnego chłopa. Przy powierzchownym rozumieniu dynamiki rozwoju naszego życia wydaje się bowiem, jakoby groziła nieuniknioną kolizja między tak zarysowanymi nadziejami indywidualnego gospodarza a państwową polityką planowego zaopatrzenia wsi w artykuły konsumpcyjne i ścisłą regulacją cen i inwestycji przez państwo. Wobec tego pisarz wybiera tylko „pocieszające elementy rzeczywistości wiejskiej".

Można przecież ukazać np. potrzebę reformy rolnej i radość chłopów z jej dokonania, można pokazać urzeczywistnione marzenia dotyczące losu dzieci, likwidację szkodliwej działalności kułaka w GS-ie, można pokazać państwowe inwestycje na wsi jak elektryczność, POM-y, instytucje kulturalne. Można pokazać przyjaźń robotników i chłopów przez wkomponowanie w ramy utworu odwiedzin ekipy fabrycznej. Można nowet pokazać obawy przed nowościami jak np. obawy przed spółdzielnią produkcyjną, ale równocześnie wyjaśnić, że nowości tych przede wszystkim obawia się kułak. Można zdemaskować w utworze jego interesy i ukazać całej wsi, że ulegając różnym strachom chłopi byli pomocą kułakowi ze szkodą dla siebie samych. To jest poważny argument, którym posługują się pisarze przy każdej sprawie, w szczególności przy sprawie spółdzielni produkcyjnej, do której winna się zapisać większość chłopów pod koniec powieści. Utwór taki uchodzi za optymistyczny, ukazujący właściwy kierunek rozwoju wsi i budująco-wychowawczy. Łatwo w ten sposób obejść się bez podejmowania trudnych spraw naszej rzeczywistości.

Takie lakierowanie nie może być przyszłością naszej kultury. Masy ludowe wymagają literatury, która w życie wgląda głęboko i bierze je za łeb w najtrudniejszych sytuacjach, ponieważ słuszne rozwiązanie najtrudniejszych sytuacji, jakie spotyka współczesny człowiek, uczy, wychowuje i pokazuje jasną perspektywę naszego życia.

A więc wniosek stąd, że niesłusznie przestraszyliśmy się w powieści chłopa nawykłego do kapitalistycznej kalkulacji, któremu błysnęła i zgasła nadzieja nadchodzącej koniunktury.

Ucieczka pisarzy od trudnych spraw nowej rzeczywistości wynika z niedostatecznej dynamiki naszego życia i praw jego rozwoju. Bo czy świadomość chłopa w momencie utraty nadziei na możliwość zbicia majątku to jakiś stan świadomości zdolny niezmiennie trwać, jak to się dzeje u większości bohaterów naszej literatury? Wcale nie. Równolegle od pierwszych dni chłop spotykał się z nowymi sprawami, które będą wprowadzały do jego świadomości coraz to nowe korekty. Nie należy zapominać, że inicjatywa chłopa jest nadal najbardziej decydująca w dalszym rozwoju i przebudowie naszego rolnictwa.

Oto chłop coraz konsekwentniej wiąże się z rynkiem państwowym, zapewniając sobie normalne zaopatrywanie się w artykuły przemysłowe. Rozszerza kontraktację rentownych upraw i hodowli, oraz stara się o coraz pełniejsze wykorzystanie rezerw, żeby coraz bardziej zwiększać produkcyjność gospodarstwa. W tym zakresie chłop znajduje wydatną pomoc i poparcie państwa. Istotnym przewrotem w umyśle chłopa jest zapewne uświadomienie sobie tego, że jedyną drogą należytego rozwoju gospodarstwa jest nie śrubowanie cen, lecz systematyczne podnoszenie wydajności gospodarstwa, ponieważ podnoszenie wydajności daje nie tylko doraźne zwiększenie dochodów, co chłop chciał osiągnąć przez utrzymanie spekulacyjnych cen, lecz przede wszystkim perspektywę stałego rozwoju gospodarki chłopskiej i możliwość osiągania na tej drodze coraz większej dochodowości. To jest największa więź, jaka łączy chłopa z socjalistyczną gospodarką planową. Na tej płaszczyźnie chłop rozumie coraz bardziej konieczność nowoczesnej techniki w rolnictwie i zdobyczy nauki agrotechnicznej. Chłopi coraz częściej łączą niektóre uprawy, by wykorzystać park maszynowy POM-ów, lub przechodzą do wspólnej uprawy całych gruntów, by umożliwić sobie dostęp do celowych inwestycji, jakie państwo bardzo chętnie wkłada w socjalistyczne rolnictwo.

Rzecz jasna, że tego pokazać nie można bez wcześniejszego pokazania, jak chłop rozczarował się, gdy chciał zrobić karierę przy zacofanej gospodarce rolnej. Takie jest prawo rozwoju naszego życia i mowy nie ma, żeby jakiekolwiek najbardziej dla nas przykre ogniwo tego rozwoju pominąć, bez popadania w fałsz i lakiernictwo. Tylko śmiałe podjęcie trudnych spraw leży w naszym interesie, w interesie człowieka pracy Tylko przez śmiałe spojrzenie na rzeczywistość literatura zdolna będzie odtworzyć właściwy jej obraz i zdobyć sobie czytelnika, któremu będzie pomagać żyć i pracować.

Panujący w naszej literaturze sposób przedstawiania chłopa małorolnego jako bardziej rewolucyjnego niż średniaka, który jest zawsze chwiejny, bez ukazania realnych źródeł rewolucyjnej czy oportunistycznej postawy jest po prostu schematyzmem. Najbardziej widoczne jest to w „Opowieści Wierzbowej", gdzie wszyscy średniacy należą do ZSL, a małorolni do PZPR. Bardzo podobne sytuacje są u Bartelskiego, Gałaja i innych.

Czyżby początkowe narzekania w ślad za kułakiem na państwową regulację cen i na wymiar w planowanym skupie zboża i kontraktacji żywca nie był udziałem zarówno małojak i średniorolnego chłopa? Jeszcze dziś, gdy pisarze pośpieszą z wyjazdem na wieś, mogą się gdzieniegdzie przekonać, że na wiele rzeczy narzeka zarówno jeden jak i drugi. Pisarze nie podejmują tych spraw, ponieważ nie widzą ich rozwiązania. A rozwiązanie pokazuje właśnie konsekwentnie postępujący rozwój naszego rolnictwa. Oto chłop stawiając na podniesienie produkcyjności swojego gospodarstwa widzi, że jego pozycja ekonomiczna rośnie właśnie dzięki sztywnym cenom i dzięki polityce podatkowej, ponieważ to wszystko ogranicza kapitalistyczne zapędy kułactwa i zapewnia niezależny od kułackich „usług" rozwój mało i średniorolnego gospodarstwa. To samo z początkowym narzekaniem na brak artykułów przemysłowych, które ustało, w miarę jak chłop sam zaczął wglądać w ich słuszny podział. Przy czym miał możliwość stwierdzić, że brak tych artykułów pochodzi nie ze zmniejszonej ich podaży, lecz stąd, że on sam dziś więcej konsumuje i częściej inwestuje. Zdarzające się nadużycia i objawy biurokratyzmu w administracji państwowej i gospodarczej chłop w dobrze rozumianym interesie własnym ma możliwość przy pomocy państwa usunąć i piętnować. W ten i w inny sposób rośnie jego pozycja polityczna w gminie, a nawet w powiecie, wypierając z tych pozycji kułaka. Rosną nowe autorytety na wsi, tworzy się nowa atmosfera obyczajowa, nowe kryteria godności osobistej, nowa moralność. Niezrozumiałe dawniej inwestycje w kina, traktory, biblioteki i ośrodki zdrowia dziś stają się jasne, przydał się traktor, ba! przydałoby się i więcej maszyn; kino staje się chlebem powszednim. Książka też pomaga żyć i młodzież żyje inaczej, ma szerszy kontakt ze światem i o spółdzielni nie strach już pomyśleć. Rzecz jasna, że małorolnemu pod wieloma względami łatwiej na tej drodze dostrzec swój interes, niż średniorolnemu chłopu, ale te interesy i coraz nowe dźwignie zaostrzające walkę wokół tych interesów — trzeba pokazać.

Dopiero w ten sposób ukazana wieś odsłania nam całe bogactwo spraw ludzkich, atmosferę, jaka dziś panuje na wsi i radosną perspektywę rozwoju. Oddać to w literaturze można jedynie przez kolejne, konsekwentne ukazywanie źródeł, z których wynikają określone interesy chłopa — sposoby ich realizacji. Doniosłość tych zagadnień polega na tym, że są to sprawy bytu i ambicji, które człowieka skłaniają do myślenia, kalkulowania i korygowania swoich doświadczeń. To jest ta żywa droga życia, na której chłop spotyka trudności, własne opory, na której spotyka przyjaciół i wrogów, na której może wygrać lub przegrać. Realizacja tego w literaturze wymaga, aby czytelnik z bohaterem wiele spraw przeżył głęboko, by razem z nim wchodził w każdy kąt jego warsztatu pracy, jakim jest jego gospodarstwo, by razem z nim planował i zwyciężał, cierpiał i radował się, a wtedy na trudnej drodze życiowej bohatera będzie dorabiał się nowych doświadczeń i uczył się pokonywać w życiu te same trudności.

Literatura nasza stroni jeszcze od tych spraw nazbyt konsekwentnie, posługując się jedynie takimi, które pokazują gotowe rezultaty zwykle nieokreślonych bliżej przeobrażeń. Ale w ten sposób nie dopuszcza się do głosu chłopa w trudnych dla niego, choć nie antagonistycznych konfliktach, pomija się jego życie i te procesy, które tworzą jego świadomość, nowe wartości moralne, nowy lepszy charakter.

Tadeusz Muras

RELACJE I WYCINKI

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

TANTJEMY I BEZROBOCIE

STARE roczniki tygodników i pism codziennych zawierają nieprzebrane bogactwo materiału, ilustrującego stan gospodarczy, kulturalny i obyczajowy Polski przedwrześniowej. W numerze 38 popularnego wówczas wśród kół burżuazyjnych „Tygodnika Ilustrowanego" z września 1931 roku w dziale „Idee i zdarzenia" znajdujemy ciekawe uwagi na temat akcji charytatywnej: „Ruch charytatywny" (Nr. 7—8), pismo poświęcone sprawom miłosierdzia, w artykule p.t. „Ogniowa próba", pisanym przez redaktora miesięcznika, zastanawia się nad sytuacją pracy charytatywnej w chwili, gdy ostoja tej akcji, inteligencja zawodowa, przeżywa obecnie kryzys gwałtownego zubożenia. „W wyniku tego przeobrażenia — pisze autor artykółu — stajemy wobec dwóch konieczności. Musimy w dalszym ciągu domagać się od tych sfer zubożałych miłosierdzia. Będzie to próba ogniowa. O ile bowiem przedtem dawano jałmużnę, o tyle teraz trzeba zdobyć się na rzeczywistą ofiarę. Z drugiej strony nie może ta ofiara spaść całym ciężarem na barki najsłabsze. Musi raz wreszcie przemysł i finansjera przejrzeć (podkreślenia moje). Musi zrozumieć, że olbrzymie pensje dyrektorów, dochodzące do zawrotnych sum 80.000 złotych na miesiąc, kryją w sobie wielkie niebezpieczeństwo. Przecież te bezrobotne, głodne i obdarte tłumy do czasu tylko zachowają spokój. Te sporadyczne wybuchy w miastach naszych są bardzo znamienne. Bądźmy szczerzy. Jeśli nie uporządkujemy naszego życia społecznego w imię zasad miłości, to przyjdą inni, by je wywrócić za pomocą nienawiści"(?)

Jak na bogobojny tygodnik gebethnerowski — trzeba przyznać — dość śmiałe zestawienie: 80.000 tantjem względnie pensji dyrektorskich co miesiąc i „bezrobotne, głodne i obdarte tłumy".

Ale czytajmy dalej: „Czasem zdaje się, że stoimy wobec zmierzchu naszej ery lub w przededniu jakiegoś nadzmysłowego kataklizmu. Zabiliśmy najistotniejsze pierwiastki człowieczeństwa, upoiliśmy jaźń haszyszem papierowej potęgi, nakarmiliśmy ją namiastką uczucia" itd. w podobnym sensie.

„Ruch charytatywny — pisze dalej kronikarz — poświęcony jest pięknym ideom. Nadeszły chwile, kiedy działalność ta natrafi na najtrudniejsze przeszkody — na wielki spadek zamożności powszechnej".

Nic dziwnego, że wobec „wielkiego spadku zamożności powszechnej" autor poddaje się katastroficznym nastrojom i przewiduje „zmierzch ery" lub „nadzmysłowy kataklizm". Nadzmysłowego kataklizmu nie oczekiwaliśmy, ale przyszedł przewidziany przez naukę marksistowską „zmierzch" ustroju kapitalistycznego, który pobożni autorzy z „Tygodnika" i „Ruchu charytatywnego" nazywali naszą erą.

SCHEIBLEROWIE

CZWARTĄ Lewą nazywają robotnicy Oddziału B Przędzalni Średnioprzędnej salę na trzecim piętrze, z lewej strony schodów, w jednym z gmachów fabrycznych Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Józefa Stalina.

Odpowiednio do tego sala na parterze z prawej strony schodów nosi nazwę Pierwsza Prawa, z lewej — Pierwsza Lewa itd.

Majster Roman Jastrzębski już na progu sali zorientował się, że dziś na Czwartej Lewej aż kipi. Podłoga była zaśmiecona zwijakami bawełny, w której brodziło się jak w brudnym śniegu. W przejściach i w gankach leżały porozrzucane puste blaszanki do przędzy. Wózkarze tarasowali drogę wózkami ze szpulami forganu. Prządki w rozchełstanych fartuchach, zgrzane i błyszczące od potu, pracowały nerwowo przy obrączniakach.

— Co się dzieje? — spytał przechodzącego podmajstrzego.

Czarny jak węgiel podmajstrzy błysnął białkami oczu. — Już 110% planu — wrzasnął przekrzykując szum maszyn.

Jastrzębski wszedł do kantoru. Przy jego stole siedział majster salowy Szczygielski z grubym dziennikarzem, zbierającym materiał do reportażu. Dziennikarz wycierał starannie pot z czoła, z karku, z twarzy i wzdychał: — Strasznie tu u was duszno.

— Duszno? — obraził się majster salowy. — Mamy teraz specjalne urządzenia wentylacyjne. Trzeba tu panu było być przed wojną, to by pan dopiero wiedział, co to znaczy duszno. Pamiętam jeszcze za Scheiblera dyrektor Przędzalni pokazywał swojej żonie naszą Czwartą Lewą. Dama stała w ganku między maszynami i pot ciurkiem spływał jej ze skroni na policzki. Dyrektor wziął mnie na stronę i powiedział: „Niech się moja pani trochę spoci, dobrze jej to zrobi, będzie wiedziała, że nam pieczone gołąbki same nie lecą do gąbki, ale że się musimy porządnie napracować". Uważa pan, powiedział: **„Nam"...** Miał bezczelność porównać swoje tantjemy z pracą i zarobkami robotnika!

Majster salowy zdenerwował się i jego duża, łysa głowa zrobiła się ciemno-pąsowa.

— Na dwa lata przed wojną Scheibler przywiózł swoim pociągiem na swoją bocznicę, tutaj — Szczygielski wskazał ręką w kierunku toru kolejowego, przecinającego ulicę pod Przędzalnią — cały rząd, sejm i senat. Panowie ministrowie, posłowie i senatorzy rozleźli się po salach. Mnie złapał jakiś minister za rękaw i udaje naiwniaka: „Panie, gdzie tu jest powietrze"? Niewiniątko, uważa pan, wybrał się odstawiać przyjaciela robotników! „Gdzie jest powietrze?"

Rozzłościłem się, mówię panu, tak, że wypaliłem gościowi w oczy: „Niech pan minister zapyta o to pana Scheiblera, przecież panowie się znacie, jak łyse konie". Odszedł jak zmyty.

— Niech pan jeszcze coś opowie — prosił dziennikarz. — Bardzo interesująco pan opowiada.

Jastrzębski stanął przy oknie. Środkowa szyba w żelaznych ramkach była podniesiona jak oberluft i w jej kwadracie widać było z wysokości trzeciego piętra jak na dłoni daleki podmiejski krajobraz. Przeciągnięta nad stawem scheiblerowskim ulica była odgrodzona od wody wysokim, trzymetrowym płotem z wąskich sztachet. Wylot ulicy wybiegał w pole, rozciągające się daleko, do czerwonych budynków na horyzoncie. Nad brzegiem stawu, w dawnym ogrodzie Herbsta, nad pomarszczoną powierzchnią wody pochylały się bezlistne korony drzew.

O tym Herbście, jego pałacu i ogrodzie na Księżym Młynie opowiadał właśnie Szczygielski dziennikarzowi. — Panie, co oni tu wyprawiali za hece! Taki na przykład Herbst, zięć Scheiblera i dyrektor administracyjny tych Zakładów, który mieszkał w pałacu, w tym ogrodzie!

Dziennikarz spojrzał w okno. Szczygielski mówił dalej: — Gdy mu zachorowało dziecko, Herbst kazał wymościć wszystkie ulice dookoła ogrodu słomą, żeby turkot wozów nie budził dzieciaka. Widziałeś pan kiedy coś takiego? Wyobrażasz pan sobie, ile to kosztowało? A robotnicy, w tamtych czasach, panie, sypiali na zgniłej słomie, w dzurawych siennikach, bo nie stać ich było na świeżą.

— Pan znał Scheiblera?

— Starego znałem słabo, młodych lepiej. Jeden z nich praktykował u nas tutaj sześć tygodni. Pod koniec tej praktyki, a było to na jakieś pół roku przed wojną, pochwalił się: „Wiesz pan, jadę do szkoły lotniczej, do Niemiec".

Mówię ja mu: „Wojna idzie, pan taki młody, nie szkoda panu życia?". A on mi na to: „Zanim mnie wyszkolą na lotnika, Hitler zawojuje cały świat".

Dobre, co?... Tacy byli ci Scheiblerowie.

Władysław Rymkiewicz

JÓZEF PLICHTA

List z woj. warszawskiego

„MIAŁEM CI JA SEKWESTRATORA"

Gromada Kuznocin, w gminie Kozłów Biskupi w pow. sochaczewskim to gromada poparcelacyjna, ale nie z czasów chłopsko -robotniczych, ale pańskiej reformy rolnej, z roku jeszcze 1927.

Zebrało się u nas 72 gospodarzy i kupiliśmy wspólnie, na ile kto się tam zmógł, jeden 4, drugi 6 mórg, płacąc obszarnikowi za 1 morgę po 2.000 ówczesnych złotych (gdy żyto było po 30 zł za metr), a do tego jeszcze doszły różne koszta w sądzie i u rejenta po 200 zł od morgi.

Gotówki to ta każdy u nas miał niewiele, więc dopożyczyliśmy gdzie się tylko dało, płacąc duże procenty.

Mój sąsiad Niewiarowski, co kupił 6 ha miał dla przykładu zadłużenie 8 tys. złotych, zanim ten dług spłacił, to już mu procenty urosły do 11 tysięcy tak, że ani się obejrzał a już miał 19 tysięcy długu, a więc więcej niż warte było całe jego gospodarstwo. A miał siedmioro gąb w chałupie do wyżywienia. Chodził więc szukać jakiejś roboty, ale choć wystawał ciągle przed bramą fabryki w Chodakowie i całował po rękach różnych dyrektorów i inspektorów, roboty nie mógł dostać.

Ja sam miałem 10-ro dzieci, niektóre już dorosłe; były one w chałupie tylko ciężarem, a długów więcej niż włosów na głowie.

Różni wierzyciele, komornicy, sekwestratorzy lgnęli do mnie jak muchy do miodu. Byli stałymi gośćmi w mojej zagrodzie i tak ci poznali moje gospodarstwo, że wiedział nawet jucha jeden z drugim kiedy się krowa ocieli, przychodzili wtedy po cielę i brali jak swoje.

Pamiętam jak dziś, pewnego razu patrzę przez okno, a tu idzie sekwestrator, aby się ze mną zobaczyć. To ja schowałem się do kufra, a kobiecie zapowiedziałem, że nie ma mnie w domu.

Ale ten sekwestrator koniecznie chciał się ze mną rozprawić. Rozparł się wygodnie na kufrze i zapowiedział, że będzie na mnie czekał choćby do sądnego dnia. I tak siedział na tym kufrze, w którym ja się przed nim schowałem, przez cztery bite godziny. A ja dogorywając z braku powietrza musiałem jeszcze wysłuchiwać jego pogróżek, aż nareszcie poszedł, bo nie mógł się mnie doczekać, a ja ledwo żywy, prawie umęczony w tym kufrze, mogłem wreszcie złapać trochę świeżego powietrza.

Przeklinaliśmy z żoną własny los, ale cóż to pomogło. Chcieliśmy nawet sprzedać nasze gospodarstwo, ale nie mogliśmy znaleźć chętnego kupca i tak musieliśmy się borykać z naszym losem aż do wojny.

Choć mam już dziś lat 60, dobrze pamiętam, że z naszej gromady to nikt do szkoły do miasta nie uczęszczał. Do szkoły powszechnej, to niektóre dzieci chodziły, ale tylko jak było ciepło, bo trudno było o ciepłą odzież i buty.

Dziś do szkół zawodowych chodzi od nas 20 dzieci, a ukończyło pełną szkołę podstawową i średnią od czasu wojny już 40.

Z gromady naszej jest dwóch oficerów Wojska Polskiego, a jeden to nawet z lotnictwa, miał bowiem od małego ciekawość do maszyn.

Z gromady Kuznocin pracuje w Chodakowie dziś chyba więcej jak 20 osób.

Mimo, że są narzekania w gromadzie na brak gwoździ, desek, papy, cementu, jak się spojrzy po wsi to widać aż 17 nowych domów murowanych, wszystkie wybudowane już po wojnie. Mamy już elektrykę, brak tylko jakiejś sali na zebrania gromadzkie.

Józef Plichta

Kuznocin, pow. Sochaczew

JAN BABINICZ

W PAWŁOWICACH SZKOŁA ŚWIETLICOWA

JESTEM kierownikiem szkoły świetlicowej w Pawłowicach, pow. Jędrzejów, woj. kieleckiego. Jest to gromada, w której przed wojną ani jeden chłopak ani jedna dziewczyna nie ukończyli 7-letniej szkoły powszechnej. Obecnie z tej gromady mamy dwóch oficerów, dwóch inżynierów rolnictwa, czterech nauczycieli, a 17 osób uczy się w średnich i wyższych zakładach naukowych.

Nasza szkoła przyjmuje młodzież od 18 lat wzwyż. Jest to młodzież pochodzenia w 75 proc. parobczańskiego, byli fornale albo służące. Jeszcze wiosną 51 roku pracowali u kułaków w powiecie jędrzejowskim i pińczowskim.

Dziś młodzież ta zajmuje już stanowiska kierowników świetlic gromadzkich i świetlic gminnych.

W tym roku i w latach poprzednich organizowaliśmy dożynki, organizowaliśmy koncerty. Ta sama młodzież wystawiała w kilkudziesięciu PGR-ach i spółdzielniach produkcyjnych „Niemców" Kruczkowskiego.

Nie tylko młodzież pracuje społecznie, pracują również starsi chłopi. Biorą oni udział i w tych zespołach artystycznych i w dyskusjach nad każdą premierą. Organizujemy bowiem wycieczki do Kielc i Krakowa na każdą premierę i po każdej premierze dyskutujemy w naszej świetlicy.

Organizowaliśmy także wycieczki do Nowej Huty. Kiedy wrócili z takiej wycieczki chłopi z naszych Pawłowic, podsumowaliśmy w świetlicy wrażenia, wynik był taki, że gromada zakontraktowała o 60 proc. więcej trzody chlewnej i znacznie przekroczył skup zboża.

W wyniku naszej pracy kulturalno - oświatowej powstała w Pawłowicach spółdzielnia produkcyjna. Cechą specyficzną tej spółdzielni produkcyjnej jest to, że weszła do niej brygada ZMP-owska, złożona z naszych wychowanków. Brygada ZMP-owska imienia M. Buczka wykonała wszystkie roboty i jest motorem spółdzielni. Starzy chłopi patrzyli z początku pobłażliwie — co taki młody chłopak potrafi zrobić. Ale organizacja zdobyła zaufanie pracując zespołowo. Każde posiedzenie nasze odbywa się wspólnie z zespołem ZMP-owskim, co wieczór mamy „letuczkę" to znaczy krótką odprawę.

Kiedy w naszej wsi wydaliśmy walkę analfabetyzmowi, było wówczas 42 niepiśmiennych. Tych analfabetów zaprosiliśmy do naszej świetlicy i cały nasz ZOZ i Zarząd ZMP przez kilka dni konferował na temat walki z analfabetyzmem. Mieliśmy, oczywiście, wiele trudności, gdyż kułacy szerzyli plotki, że będzie się walczyć nie z analfabetyzmem ale z analfabetami. Zaczęliśmy czytać książki i to takie jak Zalewskiego: „Traktory zdobędą wiosnę", „Zorany ugór" i książkę, która bardzo się podobała wsi „Droga przez mękę". Czytaliśmy tę powieść Tołstoja dosłownie 4 razy, jest jej teraz kilkadziesiąt egzemplarzy w naszej gromadzie i nie ma chłopa, któryby, jeżeli już jej nie czytał — to przynajmniej nie znał jej treści, bo była nie tylko odczytywana i czytana, ale niektóre fragmenty nawet inscenizowaliśmy. W takiej atmosferze wszyscy, w liczbie 42 osób, kurs ukończyli i zdali egzamin z dodatnim wynikiem.

Z naszym zespołem artystycznym (jest to zespół złożony z parobków i byłych służących) objechaliśmy 52 spółdzielnie produkcyjne w całym województwie kieleckim. Od spółdzielni do spółdzielni dobijaliśmy różnymi środkami lokomocji — i końmi, i samochodem, i na piechtę.

W tych objazdach i wędrówkach po spółdzielniach województwa kieleckiego widzieliśmy takich ludzi, że (przepraszam za słowo) oko nam zbielało. Ludzie ci mieli pasję dyskutować z nami noc całą, po dniu pracy ludzie ci potrafili cytować klasyków marksizmu. Spotkaliśmy kobietę, która umiała na pamięć osiem ksiąg z „Pana Tadeusza", nauczyła się ich kołysząc dziecko. Nazywa się Kętko Helena. Widzieliśmy chłopów, którzy samorzutnie organizowali zespoły czytelnicze, takich, którzy podnosili poziom czytelnictwa, takich, którzy na zebraniach gminnej rady narodowej potrafili omawiać cały plan pracy oświatowej, kiedy sto kilkanaście osób stawało do dyskusji. Starosta przed wojną mówił, że taka wieś jak Pawłowice nadaje się tylko do kryminału, a dzisiaj z tej wsi wychodzą budowniczowie Polski Ludowej, ludzie odznaczeni medalami. 17 kształci się w średnich i wyższych zakładach naukowych. To jeszcze nie wszystko. Mamy własną bibliotekę, liczącą 4 tys. tomów. Sami bez specjalnej pomocy zelektryfikowaliśmy naszą wieś i zradiofonizowaliśmy. Kiedy chcemy zwołać zebranie, mówimy przez głośnik i w ciągu godziny, pół godziny schodzi się cała gromada, świetlica jest pełna i sprawa staje w ogniu żarliwej dyskusji.

Nasza koleżanka Kosak z naszego zespołu potrafiła tak zorganizować kobiety, że 7 kobiet z naszej wsi zakontraktowało po 20 do 25 sztuk trzody chlewnej i wszystko to oddano państwu. Z naszej gromady i naszej gminy jeżdżą chłopi tacy, którzy do niedawna nigdy pociągu nie oglądali, jeżdżą do Polanicy, do Krynicy i opowiadają potem co przeżyli i jaką mieli opiekę lekarską.

Poprzez pracę kulturalno - oświatową, przez książkę, przez piosenkę, taniec, poprzez zespoły czytelnicze, poprzez to wszystko doszliśmy do tego, że nasza wieś należy do przodujących w powiecie.

Ciekawostką w naszej pracy świetlicowej jest ping-pong. Co prawda jeden tylko mamy stół ping-pongowy, ale do tego stołu zapisują się ludzie w wieku od lat 12 do 50 na tydzień naprzód. Wygląda to tak: Gracze, ogonek i kibice. Baby przychodzą i pytają, ile setów zdobył syn, mąż czy ojciec. Pewno, że nie są to rzeczy wielkie. Ale i ten szczegół mówi coś o nas z najbardziej głębokiej prowincji, takiej, gdzie nawet PKS nie dochodzi.

Nasz zespół nauczycielski, cała gromada i cała gmina, podjęły na Kongres Nauki zobowiązanie: w każdej chałupie jedna gazeta i jedno pismo periodyczne. Zobowiązanie to zostało dawno wykonane i każde przemówienie naszego ukochanego Prezydenta czyta się w Pawłowicach z zapartym oddechem i umie się we fragmentach na pamięć. Starzy żołnierze pamiętający jeszcze wojnę japońską ze łzami radości słuchają przy głośnikach słów Prezydenta.

Jan Babinicz

NOTATKI

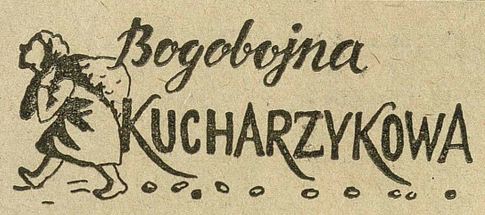

Po południu zjawiła się niespodziewanie średniaczka Kucharzykowa, znana w okolicy dewotka, taka co to do każdego różańca należy i spędza pół życia w kruchcie. Na gospodarstwie pracuje dwóch dorosłych synów, którym więcej niż trzy oddziały nie pozwoliła bogobojna matka skończyć. Weszła, przeżegnała się i —

— Poratujcie prezesie biedną wdowę, bo se rady nie dam.

— A o cóż chodzi?

— Pan Bóg nie poszczęścił, kartofle nie wyszły, pomóżcie.

— Wam odebrał, a nam dał? Przecie u nas wyszły a sąsiadujemy o miedzę.

— Prawda, prezesie, prawda, ale świnek urodziło mi się za dużo.

— Powiedzcie Kucharzykowa ile?

— Będzie ze dwanaście, nie licząc tych trzech, które muszę odstawić.

— To jednak niebo o was pamiętało.

— Oj, tak prezesie, ino o kartofelkach se zapomnieli.

— No ale wyście sama pamiętali Okupski mówił nie dalej jak wczoraj, żeście nocą z naszego pola ze dwa wory kartofli wynieśli.

— Zgrzeszyłam, ale to z litości dla tych biednych świnek i ludzi, którym się sprzeda w Kutnie. Cóż będą bliźni jeść? U was kartofli dużo

— Ile razy byliście tego roku u spowiedzi?

— Raz na tydzień chodzę.

— A z tej kradzieży spowiadaliście się?

— Eee nie, bo ksiądz jegomość powiada, że ze spółdzielczego nie trzeba, kiedy przecie wspólne.

— A sumienie was nie gryzie?

— Oj gryzie, gryzie, bom jegomościowi nic nie rzekła o sianku z waszej łąki, ino o kartofelkach była mowa.

Piotr Pigwa

Z ganku biura spółdzielni ogarniałem wzrokiem jezioro, pola i oborę. Nie działo się nic szczególnego. Traktor pyrkał na polach po przeciwnej stronie. Tu w kilku otwartych wrotach migały ogony krów, smagających się po zadach.

Nareszcie pierwszy człowiek. Była to kobieta, niosła na rękach maleńkie dziecko. Ile mogła mieć lat? Około pięćdziesięciu. Założyłem, że matka.

— Na przewodniczącego pan czeka? Ja tyż — i usiadła na schodkach ganku. Pomilczeliśmy trochę, myślałem od czego by tu zacząć. Uprzedziła mnie.

— Żeby pan tak mojego syna zobaczył?... Ale go tu nie ma.

— A gdzie?

— W POM-ie jest teraz i uznanie ma i na honorze nie cierpi.

— A gdzie cierpiał?

— Tutaj, panie, tutaj, w naszej spółdzielni. Kurs przeszedł i chciał na miejscu pracować. A jemu dał przewodniczący kolczaka. Panie, po kursie — kolczaka. Taki wstyd zrobić chłopakowi.

— Jakiego kolczaka?

— Ano traktor, co ma koła z żelaza i kolce, jak gwoździe na podeszwie.

— Acha, Wasz syn traktorzystą?..

— Ma się wiedzieć, po kursie, a jemu dali traktor bez gum... Były na gumach jak się patrzy a ten jeden kolczak na niego popadł. Śmiali się ludzie, a to się wasz syn wyuczył, na starym żelastwie jeździ, poślijcie go jeszcze raz na kurs.

— A wy co?

— Ja z synem do POM-u i powiadam, że jak nauka wyższa to i technika musi być w sam raz. Inaczej będzie mój syn bez przyszłości. Popytali i zabrali Pietrka. Teraz jest przodownikiem, bo na gumach.

Pyrkanie traktoru przybliżyło się i nagle na podwórze wtoczył się kolczak. Starszy chłop, umazany jak nieboskie stworzenie, krzyknął z motoru

— Magda, gadałaś w biurze?

— To mój stary — oznajmiła kobieta.

— Na kolczaku?

— A czemu nie, on bez żadnych nauk, nie to co Pietrek.

Marian Lewicki

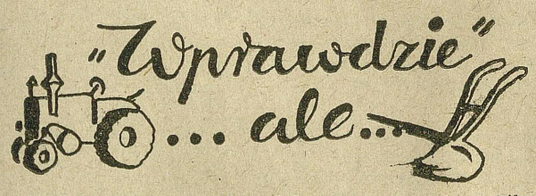

Ludwik Cieplewicz jest delegatem z powiatu Piła. Jedyny to powiat Ziem Odzyskanych w województwie poznańskim. Ziemia tam licha. Cieplewicz gospodarzy na takich 9 ha. Wędrujemy obaj na plac Szczepański do Biura Dożynkowego. Cieplewicz zgubił swoją grupę a zbliża się pora odjazdu. Co chwila podnoszę głowę, bo chłop to olbrzym. Idziemy szybko a jeszcze szybciej mówi mój olbrzym. W tym pośpiechu wyczuwam tłumaczenie się. Wciąż używa takich zwrotów, jak „wprawdzie... ale..."

Wprawdzie ma lichą glebę, ale jedna krowa na 9 ha to za mało. Wprawdzie prześladują go wypadki, bo dwie krowy mu padły dawniej a ostatnia jałowiła przez dwa lata i ocieliła się dopiero w sierpniu — ale on zobowiązuje się plan 1.200 l. wyrównać do końca września. Wprawdzie plan skupu zboża już wykonał w 109 procentach — 700 kg żyta na obowiązkowe 612, a pszenicy jeszcze dowiezie — ale zwlókł z odwózką 100 kg kontraktowanej fasoli.

Cóż u licha — myślę. Liczy jak poznaniak a trzepie jak na spowiedzi.

— A jak tam we wsi z poplonami?

— Wprawdzie wykonaliśmy 80 procent podorywki powierzchni ściernisk, ale poplonów zasialiśmy tylko 50 procent, bo żniwa były późne i przeszkodziła susza.

— A ze żniwami jak było?

— Wprawdzie 25-ciu mamy pełnorolnych gospodarzy, ale jedna była tylko żniwiarka. Dwóch więc kosiło ręcznie.

— Kto?

— A właśnie ja ze synem. Najpierw u siebie a potem u wdowy jednej, mąż jej umarł na Wielkanoc.

— Dlaczego kosą?

— Wprawdzie lepiej żniwiarką i sam się o nią starałem dla gromady, ale ja... strasznie lubię kosić ręcznie.

Kosić pewnie lubi, taki olbrzym. Ale wstydliwy też jest. Chciał, aby gromada szybciej ukończyła żniwa, więc nie czekał na żniwiarkę. Ale dlaczego się tłumaczy i tłumaczy? Tak go nastroiły Dożynki?

Michał Paleczny

JANINA SIEKIERKOWA

Dziecięca spółdzielnia

NASZ okręg szczeciński rzucił apel, wzywając wszystkie szkoły wiejskie do współpracy ze spółdzielniami produkcyjnymi. Wezwanie słuszne, skoro woj. szczecińskie jest jednym z najbardziej uspółdzielczonych województw. Opowiem pokrótce, jak nasza szkoła przystąpiła w ubiegłym roku do tej pracy. Było na naszym terenie niewiele już odłogów, ale były jeszcze. Na 1 Maja dzieci zobowiązały się, że 1 ha odłogów zasiejemy. Dzieci zakontraktowały len. Zebraliśmy i oddaliśmy, dano nam za to materiały i pieniądze. Wtedy dzieciaki postanowiły, że ten hektar musi pozostać w ich ręku. Od dorywczego czynu przeszliśmy więc do pracy bardziej utrwalonej. Trzeba było teraz poszukać nowych metod, żeby pracę sobie ułatwić i mieć większe rezultaty. Znaleźliśmy taką metodę. Dzieci założyły spółdzielnię produkcyjną, spółdzielnię z dniówką obrachunkową, ze statutem, z brygadzistami, z zarządem. Wszystko jest u nas tak, jak w prawdziwej spółdzielni produkcyjnej. Na naradzie drużyny z wszystkimi dziećmi omówiony został sam pomysł. Węższy kolektyw uczniów wypracował formy i stworzył projekt statutu, który opiera się mniej więcej na statucie spółdzielni produkcyjnej **dorosłych**. W naszej wsi jest spółdzielnia produkcyjna. Kiedy więc już wszystkie przygotowania zostały ukończone odbyło się w szkole walne zebranie wszystkich uczniów, począwszy od klasy IV-tej.

Zarząd dzieci wybrały doskonały. Był przewodniczący, zastępca, członek zarządu, wybraliśmy księgowego, kronikarza, 3-ch brygadzistów, bo postanowiliśmy prowadzić 3 brygady — polową, ogrodową i zielarską. Statut został przedyskutowany, podpisały go dzieci i spółdzielnia ruszyła pełną parą. Na tym hektarze dzieci **same** zakontraktowały 25 arów buraka cukrowego i 75 arów lnu.

Same? A tak! Otwarło się przed nimi nowe życie, tak jak przed dorosłymi. Na nowe można patrzeć z boku, ale kiedy się w nim uczestniczy, tworzyć je trzeba **samemu.**

A co to znaczyło, pokazały pierwsze dni. Same i samodzielnie rozpo-

Foto J. K. Maciejewski

częły dzieci od „polityki zagranicznej". W domu nad każdym wznosi się władza rodzicielska. Z tej perspektywy widziały dzieci spółdzielnię, jako teren pracy ich ojców i matek. Widziały POM i GS jako instytucje współpracujące i pomagające spółdzielni i ich rodzicom. Teraz dziecięcy kolektyw z nowej pozycji nawiązał współpracę ze spółdzielnią ojców, z POM-em i GS-em. Nie z tatą gadali, nie ze sklepowym, który zwykł się przechylać nad ladą, aby dojrzeć „takiego interesanta", nie z traktorzystą, którego dawniej upraszali o przewiezienie.

Pierwszą wizytę hurmem złożyły dzieci na zebraniu spółdzielni ojcom. Przedstawili, jakie mają zamiary, choć we wsi wiedziano o wszystkim w najdrobniejszych szczegółach. Stary wąsaty przewodniczący poklepał małego przewodniczącego po plecach i powiedział: „No, Kolego, między nami jest teraz taka tylko różnica, że moja spółdzielnia ma duże pole, a mało ludzi, a twoja spółdzielnia ma mało pola, a dużo ludzi".

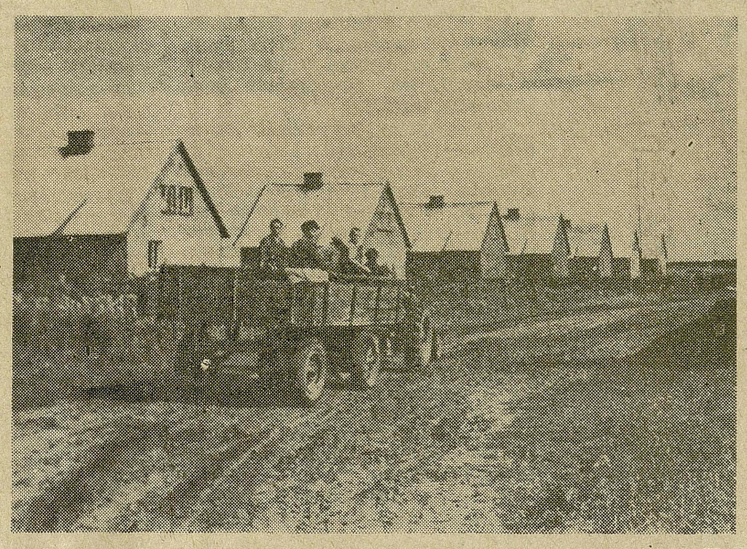

Foto WAF

Od razu stanęła umowa, że tamci będą nam dawać konie, a my za nie odrobimy naszą pracą. Nasz przewodniczący notuje każdą godzinę, kiedy bierzemy konie, a starzy notują, na ile czasu przychodzimy odrobić. Żyjemy w zgodzie i współpraca dobrze się układa.

Potem poszliśmy do POM-u. Chodziło nam o agronoma. Kolega Grajda okazał się bardzo życzliwy. Obiecał pamiętać o tym, że w pobliżu spółdzielni produkcyjnej błysnęła „Jutrzenka Harcerska", bo tak nazywa się nasza spółdzielnia.

Potem poszły dzieci do GS-u; stamtąd potrzeba nam nasion i nawozów sztucznych. Tu okazało się koniecznym podpisać skrypty dłużne. Księgowy GKS-u stracił głowę, pobiegł do szkoły niemal oburzony. Jak to jest? — My widzimy podpisy dziecięce. Czy możliwe dawać takim pędrakom towar? To przeczy wszelkim przepisom i będzie nieważne.

Uspokajałam go — tak samo ważne, jakby to był mój podpis, bo przecież podpisuje przewodniczący spółdzielni produkcyjnej.

— Ładny m przewodniczący, co portki drze na płocie — tak utyskując wrócił do GS-u, aby spisać akt ze stroną, do jakiej dotąd zwykł przemawiać przez „utrzyj se nosa". Gwoli prawdy muszę nadmienić, że po wstrząsie, jaki przeżył księgowy, mamy w nim teraz oddanego przyjaciela. „Żeby tyle z hektara wszyscy nam sprzedawali, to w dzień i w nocy gotów jestem wydawać pożyczki". Tak teraz reklamuje naszą dziecięcą spółdzielnię.

Zaczęła się praca. Pierwszy przyszedł agronom, pomógł dzieciom ułożyć plan. Len wyrósł pięknie, dziś jest już zebrany i odstawiony, a buraki są również bardzo ładne. Pole naszej spółdzielni „Jutrzenka Harcerska" leży na polach spółdzielni dorosłych i nasze buraki są tylko przez drogę. Zaraz też można widzieć, czyje są ładniejsze i bardziej czyste. My na polu śpiewamy, starzy słuchają. Kiedy skończyliśmy plewić buraki, matka przewodniczącego naszej spółdzielni tak powiedziała: „Wiem, że mój Kazio będzie miał dużo pracy, ale niech pracuje. Ja się bez niego obejdę, bo myślę, że lepsi z was wyrosną spółdzielcy, aniżeli z nas".

Będą lepsi, bo od maleńkiego uczą się żyć w kolektywie, uczą się wspólnie pracować a to jest najtrudniejsze dla naszych dorosłych członków.

Foto: J. K. Maciejewski

W naszej dziecięcej spółdzielni wygotowaliśmy już plan nie tylko na rok 1953, ale również na 1954. Prócz lnu i buraków, które będziemy nadal uprawiać, zakontraktowaliśmy nadto wczesne ziemniaki. Projekt ten wyszedł od dzieci, z ich niecierpliwej chęci, aby jak najwcześniej braciom - robotnikom przyjść w każdym roku z pomocą. Dzieci pragną również robić doświadczenia. Odmierzyliśmy więc 10 arów i na tych 10-ciu arach będzie prowadzona działka doświadczalna. Będziemy uprawiać nasiona oleiste, które udają się tylko w ciepłym klimacie. Czy dadzą się zaklimatyzować? Tymi doświadczeniami nasza młodzież najwięcej się cieszy. Wśród starszych chłopców i dziewcząt rozchwytywana jest „Kolchida" Paustowskiego. A swoją drogą zbieramy zioła.

Teraz chcę powiedzieć o wynikach naszej pracy. W ubiegłym roku w spółdzielni dorosłych z pracą było różnie. Mężczyźni chodzili w pole, ale kobiety uważały, że jak chłop pracuje, ona już nie musi iść w pole. Obecnie przez to że my — nauczy-

Foto: J. K. Maciejewski

ciele i dzieci — chodzimy na pole spółdzielni i dzięki temu, że na posiedzeniu Komitetu Rodzicielskiego i na ogólnych posiedzeniach poruszamy często tę sprawę, dziś wszystkie kobiety chodzą, a niektóre nawet mawiają już: „Jak nie wyjdę w pole, to wydaje mi się, że mi czegoś brak".

Jeszcze jedno. Myśmy spółdzielcom za konie odrabiali plewieniem marchwi. Ich marchew była tak zarośnięta, że nać ledwie było widać. A dzieci drobnymi rączkami dały radę, odmierzone im pasmo wyplewiły na czysto. Po jakimś czasie byłam tam, aby zobaczyć, jak wygląda część pola oczyszczona przez dzieci, myślałam, że reszta zupełnie zmarniała. Otóż nie, bo kiedy rodzice zobaczyli, że dzieci potrafiły wyplewić wszystkie chwasty, wzięli się i starzy do pracy; teraz czystą i piękną marchew wyrywają i sprzedają. Tak to dziecięcy zapał, tak to przykład dzieci podciągnął rodziców w pracy.

Janina Siekierkowa

Pozytywni bohaterowie „Czapajewa"

(Dokończenie ze str. 5)

konkretnym trudzie codziennej, często nieefektownej pracy dowódcy dywizji. Stąd też niezwykle precyzyjna interpretacja wojennego bohaterstwa Czapajewa; dokładne ukazanie źródeł jego bojowych sukcesów, przyczyn płomiennego umiłowania dowódcy przez szerokie masy żołnierskie. Furmanow, odrzucając legendarne wyolbrzymienia i retusze, z ogromną ścisłością ukazał realną i bliską postać Czapajewa. Tendencja ta wyraziła się może najsilniej w następującym fragmencie powieści: *„Dywizja Czapajewska nie znała porażek i w tym niemała jest zasługa samego Czapajewa. Skupić tę dywizję w jednym porywie, zmusić ją do uwierzenia w swoją niezwyciężoność, przyzwyczaić do cierpliwego i nawet lekceważącego traktowania niedostatków i trudności życia bojowego, dać dowódców, dobrać ich, zahartować, przepoić i nasycić swoją gwałtowną wolą, zebrać ich koło siebie i skupić w jednej myśli, w jednym dążeniu — do zwycięstwa, do zwycięstwa, do zwycięstwa — o, to wielkie bohaterstwo! Ale nie to, które łączy się z imieniem Czapajewa w wieści ludowej. Wieść ta głosi, że niby „sam Czapajew" zawsze pędził wzdłuż linii ze wzniesioną, obnażoną szablą, sam osobiście łamał wrogów, rzucał się w najgorętsze starcia i decydował o ich wyniku. Ale niczego podobnego przecież nie było. Czapajew był dobrym i wnikliwym organizatorem owych czasów, w owej sytuacji i dla owego środowiska, z którym miał do czynienia, które go zrodziło, które go też wywyższyło"!* Czapajew Furmanowa niczego nie stracił przez ściągnięcie zeń tęczowej zasłony legendy. Nie zmniejszyła się przez to jego wspaniała sława wojenna (*„Imię jego wejdzie do historii wojny domowej jako błyszcząca gwiazda — i słusznie: takich jak on było niewielu"*), przeciwnie — zyskała w powieści głębokie uzasadnienie, gdyż czytelnik poznał dokładnie jej źródło: nierozerwalny związek z masami ludowymi, bezprzykładny heroizm żołnierzy dywizji. Utwór Furmanowa ukazuje realne źródła bohatera, upatruje jego wielkość nie w szaleńczym, szarżowym zrywie żywiołowej odwagi, ale w intelektualnym opanowaniu sytuacji, w głęboko przemyślanych posunięciach bojowych. W tym tkwi także ogólniejszy walor powieści, uczącej rzeczowej analizy każdego przejawu heroizmu walki i pracy.

„Czapajew", porywająca opowieść o „ludowym generale" i jego komisarzu — wychowawcy, stanowi prawdziwe wyczerpujące compendium w pełni przez autora rozstrzygniętych zagadnień, dotyczących pozytywnego bohatera literatury realizmu socjalistycznego, analizy ludzkiego bohaterstwa. Dlatego książka Furmanowa, która trafiła już w ręce najszerszych rzesz czytelniczych, powinna stać się także nieodzownym elementem naszych dyskusji literackich.

Antonina Bartoszewicz

Kronika radziecka

WKP(b) i literatura (I)

We wrześniu 1918 r. Lenin wydrukował w „Prawdzie" artykuł pt. „O charakterze naszych gazet". Czytamy w nim „BLIŻEJ ŻYCIA. Więcej uwagi należy poświęcić temu, jak masy robotnicze i chłopskie w rzeczywistości budują coś nowego w swojej codziennej pracy. Więcej kontroli nad tym, o ile komunistyczne jest to nowe". Apel był skierowany nie tylko do dziennikarzy. Nawoływał także pisarzy do stworzenia literatury, odzwierciadlającej powstanie socjalizmu. Z okazji wydania książki początkującego pisarza A. Teodorskiego pt. „Rok z karabinem i pługiem" Lenin pisał: „Wydanie kilkuset lub przynajmniej kilkudziesięciu podobnych opisów — najlepszych, najbardziej bezpretensjonalnych, najbogatszych w rzeczywiście wartościową zawartość — przyniosłoby niepomiernie więcej korzyści dla sprawy socjalizmu, niż wiele utworów zawodowych literatów, drukowanych w gazetach, czasopismach i książkach".

W marcu 1919 roku Stalin wystąpił w „Prawdzie" z artykułem, w którym udowadniał konieczność powstania wielonarodowej literatury, posługującej się językiem ojczystym mas robotniczo - chłopskich licznych narodów zamieszkujących obszar państwa radzieckiego. Z tychże lat pochodzą wypowiedzi Lenina o twórczości Demiana Biednego i Serafimowicza oraz korespondencja wodza rewolucji z Maksymem Gorkim.

Pierwsze wystąpienia „Prawdy" nazajutrz po zwycięstwie Rewolucji, a jeszcze w warunkach wojny domowej wskazują na to, że Partia uważała za rzecz konieczną rozpocząć od razu także budownictwo nowej socjalistycznej kultury. W latach głodu i cierpień, wśród bohaterskich walk w obronie ojczyzny radzieckiej przeciw imperialistycznym interwentom i kontrrewolucji, w najmniej sprzyjających warunkach, Lenin i Stalin tworzyli podstawy realizmu socjalistycznego w literaturze. Dzięki trosce Lenina i Stalina, dzięki bojowej postawie „Prawdy", która umiała kierować życiem literackim Związku Radzieckiego, prostować błędy i wskazywać słuszną drogę — zostały założone fundamenty pod wielką, bogatą literaturę radziecką.

Lata dwudzieste i późniejsze, aż do Wszechzwiązkowego Zjazdu Pisarzy w r. 1934, to okres pierwszy formowania się literatury radzieckiej. Nowe dzieła tworzą: Gorki, Serafimowicz („Żelazny potok"), Aleksy Tołstoj (I i II część trylogii „Droga przez mękę"), Fiedin, Leonow, Fadiejew („Klęska"), Szołochow (I tom „Cichego Donu" ukazuje się w r. 1928), W. Iwanow, Furmanow („Czapajew"), K. Trienow... Teodor Gładkow pisze pierwszą powieść o odbudowie (Cement — r. 1926). W zakresie poezji Włodzimierz Majakowski tworzy nieprzemijającej wartości poemat o Leninie (1924). Zjawiają się nowi poeci: Issakowski, Bieżymieński, Surkow, Tichonow, Asiejew, Żarow i inni. Literatura ukazuje zwycięstwo ideologii socjalistycznej i powstawanie nowej rzeczywistości, rysuje postacie nowych bohaterów-bolszewików, przywódców i organizatorów ludu (Lewinson, Kłyczkow, Kożuch).

Ale życie literackie tego pierwszego okresu nie było ujednolicone organizacyjnie, zupełnie oczyszczone od błędów ideologicznych. Rozbicie życia literackiego i obciążające niektórych pisarzy błędy należy tłumaczyć warunkami, jakie istniały jeszcze w pierwszych latach władzy radzieckiej. Nacisk żywiołu kułackiego — przenikanie agentur imperialistycznych — dywersyjna działalność trockistów i wąskie sekciarstwo wśród pisarzy proletariackich nie sprzyjały powstaniu jednolitej organizacji literackiej. Wprost przeciwnie: rozbijały życie literackie i prowadziły do błędów.

Omówmy je kolejno. Jeszcze we wrześniu 1917 roku powstała organizacja dla umasowienia sztuki i literatury tzw. „Proletariacka kultura" (w skrócie „Proletkult"). Lecz założenia „Proletkultu" okazały się błędne i w praktyce prowadziły do szkodliwych wypaczeń. Do „Proletkultu" przenikały wrogie mieńszewicko - trockistowskie teorie reprezentowane przez Bogdanowa. „Proletkult" stał na stanowisku „niezależności" od władzy politycznej. Utrzymywał, że kulturę proletariacką może stworzyć jedynie proletariat przemysłowy i to ignorując kulturalną spuściznę postępowej przeszłości. 2 października 1920 roku w Moskwie miał miejsce pierwszy Wszechrosyjski Zjazd Proletkultu. Lenin wystąpił z rezolucją (drukowaną) w „Prawdzie", piętnującą błędy „Proletkultu" i demaskującą wrogi mieńszewicko - trockistowski charakter tej organizacji. W szczególności Lenin wyjaśnił, że kultura proletariacka nie wyskakuje nie wiadomo skąd, lecz powstaje w oparciu o postępowy dorobek przeszłości. W r. 1923 „Proletkult" przestał istnieć.

Pisarze radzieccy grupowali się w „Kuźni" i „Zjednoczeniu Pisarzy Proletariackich". Błędem ich był niesłuszny, nietolerancyjny stosunek do pisarzy burżuazyjnego pochodzenia, zdecydowanie sympatyzujących z ustrojem socjalistycznym („poputczyków" takich jak Fiedin, Leonow, Iwanow i inni). Grupy literackie „Bracia Serapiona", „Pieriewał", „Opojaz" cechowały obciążenia dekadenckie. Ugrupowania, wywodzące się z futuryzmu, „LEF" (Lewy Front — Asiejew) oraz „konstruktywizm" (Selwiński) — zrywały z postępowym spadkiem przeszłości, negowały w szczególności klasyków i narodową tradycję literacką. „LEF" głosił niesłusznie prymat „literatury faktu", stawiając na pierwszym miejscu reportaż, a wykreślając z literatury rolę wyobraźni i psychologii jako rzekomych wtrętów burżuazyjnych, obcych proletariatowi.

W miarę zwycięstw władzy radzieckiej klarowała się i krzepła sytuacja w kraju m. in. także na odcinku literacko - ideologicznym. Decydującą rolę w procesie usuwania błędów i kształtowania słusznego bolszewickiego kierunku odegrały XIII i XIV zjazdy WKP(b). 1 lipca 1925 roku na łamach „Prawdy" ukazała się rezolucja CK WKP(b) pt. „O polityce partii w dziedzinie literatury pięknej". Rezolucja stanowiła olbrzymi krok naprzód w rozwoju literatury radzieckiej. Napiętnowała błędy i wytyczyła nowe drogi. Rezolucja podkreślała ugruntowanie się politycznej władzy proletariatu, zdobycze w zakresie odbudowy gospodarki i wznoszenia pierwszych zrębów socjalizmu. W związku z tym rezolucja uznała za możliwe zjednoczenie wszystkich pisarzy w ramach jednej organizacji, stojącej na straży bolszewickiej partyjności i wyrażającej proces powstania socjalistycznego ustroju i konsolidacji narodu socjalistycznego. Rezolucja potępiła wąskie sekciarstwo i negatywny stosunek do pisarzy tzw. poputczyków i bezpartyjnych; poleciła jak najtroskliwiej nawiązać do postępowego spadku przeszłości; postawiła zagadnienie walki o jakość, wreszcie wezwała wszystkich pisarzy do zjednoczenia się pod sztandarami siły kierującej budownictwem społeczeństwa socjalistycznego. W myśl tych zaleceń w r. 1925 powstała Rosyjska Asocjacja Proletariackich Pisarzy (RAPP); na jej bazie w r. 1928 ukształtowała się Wszechzwiązkowa Asocjacja Proletariackich Pisarzy (WAPP).

Konsolidacja sił literackich, wytyczenie nowych dróg przez Partię stworzyły nowy okres w literaturze radzieckiej — okres realizmu socjalistycznego. O dalszych etapach rozwoju literatury radzieckiej — w następnej kronice.

Grzegorz Timofiejew

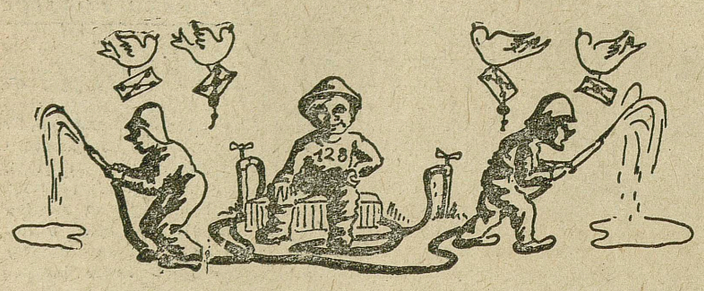

WOJCIECH DRYGAS

Skradziony agregat

CZĘSTO rzeczy prawdziwe są piekielnie nudne, zwłaszcza gdy referujący je autor opiera się wyłącznie na studiach źródłowo - archiwalnych. Aby nie osłabiać jednak zainteresowania czytelników, oznajmiam na wstępie, że w wypadku, które spisałem ze wszystkimi ostrożnościami wymaganymi w podobnej materii od skrupulatnego historyka naszej epoki — wmieszane zostały dwie spokojne gminy, obejmujące z górą trzy tysiące dusz, dwie wielce szanowne Gminne Rady Narodowe, tyleż dzielnych posterunków Milicji Obywatelskiej, kilka oddziałów rwących się do czynu Ochotniczych Straży Pożarnych oraz pewien referent z CUSiK-u, który w tym właśnie okresie przeżywał ze wszelkimi niezbędnymi w takich momentach chybnięciami swą pierwszą, wielką miłość do pewnej sklepowej, oraz przez przypadek rozgłoszony na cały powiat pewien chłop średniorolny, nazwiskiem Wieczorynka.

INCYPIAM, czyli — zaczynam.

GRN w Ciosnach do
GRN w Zadyszkach.
Dot. sprawy. X/52/P/p/Ściśle poufne.

W odpowiedzi na Wasze pismo z dn. 12 lipca br. donosimy, co następuje:

Osobnik nazwiskiem Wieczorynka Albin, będący chłopem średniorolnym w Zadyszkach, oświadcza

kategorycznie, że w tym roku nie był objęty Waszym planowaniem i jako taki nie podpada na terenie Waszej gminy pod zarządzenia wyszczególnione w dekrecie. Natomiast ów Wieczorynka, przekraczając po pijanemu granicę gminy Ciosny, objęty został automatycznie planowaniem naszej GRN, na co przystał z ochotą w stanie trzeźwym, potwierdzając własnoręcznym podpisem swą szczerą i nieprzymuszoną wolę natychmiastowego włączenia się u nas w ramy tegoż dekretu. Podpis złożony został uroczyście w obecności dwóch świadków, a mianowicie referenta CUSiK-u Feliksa Mizantropa i jego zastępcy Wincentego Gabriela.

GRN w Zadyszkach do
GRN w Ciosnach.
Dot. sprawy (jak wyżej)

W odpowiedzi na Wasze pismo z dn. 18 lipca br. komunikujemy, iż nieprawdą jest jakoby niejaki Albin Wieczorynka nie był załączony przez nas po linii dekretu do kartoteki, natomiast prawdą jest, że był planowany i załączony, toteż figuruje w wym. kartotece pod numerem 128. W związku z tym domagamy się niezwłocznego wydania nam w. wym. Wieczorynki z wszelkimi przyległościami w terminie trzydniowym.

W tej samej sprawie „wkoło wojtek" — 96 pism w treści nie różniących się. Dopiero w sierpniu pismo 97-me:

GRN w Ciosnach do
GRN w Zadyszkach.
Dot. sprawy (jak wyżej).

Nasze organa zostały już powiadomione o wrogich zamiarach Waszych organów w stosunku do nas i niejakiego Albina Wieczorynki. W związku z tym ob. Wieczorynka otoczony jest szczególnie troskliwą opieką, a wszystkie drogi biegnące z Waszej gminy do naszej patrolowane są dzień i noc przez oddziały Ochotniczej Straży Pożarnej. Według oficjalnego stwierdzenia czynników miarodajnych, Wasze organa nie mają prawa ingerencji na naszym terenie, ponieważ nasz teren podlega absolutnie rozporządzeniom organom w Ciosnach. W zakończeniu oświadczamy, że każdy gwałt wymierzony z Waszej strony w naszą — potraktowany zostanie należycie i w sposób drastyczny.

Wyraz „drastyczny" podkreślono dwukrotnie.

GRN w Zadyszkach do
GRN w Ciosnach.
Dot. sprawy (jak wyżej).

Z wielkim zdziwieniem przyjęliśmy Wasze pismo z dn. 10 sierpnia br. i komunikujemy, że w pragmatyce urzędowej jest ono bez precedensu. Przejrzeliśmy wszystkie ostatnio wydane instrukcje i zarządzenia, lecz nigdzie nie napotkaliśmy jakichkolwiek wzmianek o zastępowaniu przez urzędy wytłuszczonym odciskiem palca wskazującego — używanych dotychczas pieczęci podłużnych. Ponadto donosimy, że pismo Wasze adresowane w nagłówku do „Najdroższej Toli" pozostaje dla nas tym bardziej niezrozumiałe, że Przewodniczący GRN w Zadyszkach jest osobnikiem płci męskiej, świadczącym się metryką z imieniem Eustachy, wystawioną w urzędzie parafialnym w Szewcach Niskich k Kutna.

Zanim na horyzoncie pojawi się znowu niejaki Wieczorynka, wyszło 37 pism, rozpatrujących wnikliwie tajemnicę „Najdroższej Toli" w konsekwencji czego referent CUSiK-u Feliks Mizantrop otrzymuje naganę z ostrzeżeniem za użytkowanie w sprawach prywatnych formularzy urzędowych GRN i omyłkowe wystosowanie takiego formularza z listem miłosnym na ręce Przewodniczącego GRN w Zadyszkach. Ostatnia nota w tej sprawie datowana jest z dn. 26 sierpnia. Następne pisma w liczbie 48-miu, rozpoczynające się od słów: „Nieprawdą jest jakoby... lecz prawdą jest, że..." gonią się w tempie przyspieszonym przez cały następny tydzień po czym Zadyszki komunikują żałobnie:

„Kwitujemy odbiór wyeksploatowanego ob. Albina Wieczorynki z przyległościami. Aneksja dokonana przez Was na osobie w wym i jego agregacie młocarnianym wywołała na terenie naszej gminy nie byle jakie perturbacje w planach omłotów. Spowodowało to nasz spadek z pierwszego na czwarte miejsce w planowym skupie zboża. Dowiadujemy się jednocześnie, że Wasza gmina, żerująca bezprawnie przez cały lipiec i sierpień br. na agregacie młocarnianym w wym. Wieczorynki, który jako mieszkaniec naszej gminy, obowiązany był młócić w myśl dekretu o pomocy sąsiedzkiej w Zadyszkach, wysunęła się na czoło powiatu. Ten haniebny czyn Waszej gminy zasługuje na pełne potępienie. W związku z tym wystosowaliśmy odpowiednie zażalenie do Wojewódzkiej Rady Narodowej, w którym domagamy się ukarania winnych i rozpoczęcia współzawodnictwa od początku. Albowiem nie godzi się... itd., itd."

WRN powołała specjalną Komisję Arbitrażową. Najtęższe głowy radziły długo i zawile, przyjmując w końcu rozwiązanie niejakiego Albina Wieczorynki, który zaproponował, aby przerzucić współzawodnictwo — skoro już po zbiorach — na odstawę tuczników i zapędzić w ten sposób Ciosny w kozi róg.

Wojciech Drygas

JAK BĘDZIEMY WYBIERAĆ DO SEJMU?

ORDYNACJA WYBORCZA DO SEJMU Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej

str. 104 ..... zł 1.30

«Książka i Wiedza»

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul Wiejska nr 12, tel 7 52-50 Adres redakcji: Warszawa ul Starynkiewicza nr 7
Tel.: Red. Nacz. 727-86. Tel: Redakcji 751 80 dod wewnętrzny 91, 63
Warunki prenumeraty:
miesięcznie — 3 zł, kwartalnie — 9 zł, półrocznie — 18 zł, rocznie — 36 zł.
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze
RSW „PRASA", Warszawa, Marszałkowska 3/5 3-B-25287

JAN SKALSKI

Czytelnicy o książkach

„Dla takich czytelników — warto"...

W jednym z listów o książkach, jakie napływają do redakcji, korespondentka Anna Smolik z Wygiełzowa, gm. Babice pow. Chrzanów napisała:

„Przeczytałam „Na ratunek" (Sempołowskiej — dop. red.). U nas są ludzie co boją się wspólnie pracować a wielu jeszcze żywi nienawiść do tych, którzy organizują wspólne prace kolektywu rolnego. A przecież w tej książce autorka opisuje badania Arktydy i katastrofę, jakiej ulegli badacze. Ale mimo że ekspedycja składała się z ludzi różnych narodowości, to jednak wspólnie odszukiwali zaginionych badaczy północnego bieguna i pomagali sobie wzajemnie. A wniosek mój z tej książki jest taki, że człowiek indywidualny nie jest w stanie zrobić dużo i zwyciężać ale zbiorowo da się wszystko zrobić i łatwiej".

Ta sama czytelniczka pisze o książce M. Brandysa „Początek opowieści":

„Po przeczytaniu tej książki stwierdziłam, że wszystko co nowe rodzi się w trudnościach".

Trudności przy budowie Nowej Huty tak ogromne, a przecież wspólnym wysiłkiem przezwyciężone napełniają ją otuchą, że i przeszkody przy budowie spółdzielni produkcyjnej w jej własnej wsi dadzą się pokonać. Skojarzenia zresztą są bliskie i łatwe. Zainteresowała ją przede wszystkim postawa kułaków wobec wielkiej budowy.

„Kułacy — pisze — bali się, że nie dostaną taniej siły roboczej, bo wiedzą dobrze, że kiedy stanie Nowa Huta to dziesiątki tysięcy dzieci chłopów małorolnych znajdzie pracę w różnych zakładach".

Czytelniczka rozumie to dorze, bowiem z jej gminy w ciągu ostatnich 8 lat przeszło do zawodów nierolniczych po ukończeniu szkoły 321 dzieci mało i średniorolnych chłopów, z tego do przemysłu aż 193 (troje zajmuje już dziś kierownicze stanowiska), do spółdzielczości 98, do aparatu administracyjnego 12 a 28 zostało oficerami Ludowego Wojska.

Co nas uderza we wrażeniach tej czytelniczki wyniesionych z przeczytanych książek? Przede wszystkim umiejętność uchwycenia istotnych problemów.

Zdawałoby się, że niewyrobionego czytelnika wiejskiego zainteresuje przede wszystkim egzotyka tematyki takiej powieści jak „Na ratunek". Stało się jednak inaczej. Czytelniczka utrafiła od razu w podstawowe zagadnienie książki: znaczenie kolektywu, znaczenie internacjonalizmu.

Drugim zjawiskiem, które dominuje w liście czytelniczki jest to, że zagadnienia przedstawione w książkach potrafi natychmiast przenieść na swój własny teren, skonfrontować z własnymi doświadczeniami i wyciągnąć z nich wnioski praktyczne dla pracy społecznej we własnej wsi.

Ale też z kim mamy do czynienia w osobie naszej korespondentki? Z czytelnikiem nowym, wychowanym przez nowe warunki naszej wsi, z czytelnikiem któremu ustrój demokracji ludowej dał możność awansu społecznego i aktywnej pracy we własnej gromadzie. Tak czytać książki i tak z nich korzystać potrafi jedynie chłopka, którą władza ludowa uczyniła czynnym budowniczym nowego życia wsi.

Korespondentka nasza jest bowiem doświadczonym działaczem. Niedawno została wybrana sekretarzem podstawowej organizacji partyjnej. Wiemy już jakie sukcesy odniosła gmina Babice w dziedzinie oświaty i awansu młodzieży. Lecz gmina ta przoduje i w innych dziedzinach. Do pierwszego września b. r. wykonała już 70% rocznego planu skupu zboża. Wszystkie gromady współzawodniczą tu z sobą w akcji kontraktacji, skupu i spłaty podatku gruntowego.

A współzawodnictwo to zainicjowała właśnie Smolikowa — Wygiełzów to babska wieś. Większość mężczyzn pracuje w pobliskich zakładach przemysłowych. Więc ton życiu społecznemu wsi nadają kobiety — Koło Gospodyń Wiejskich. Zaczęło się od wychowu prosiąt. Smolikowa wezwała najpierw do współzawodnictwa przewodniczącą koła gospodyń Sokołowską. Potem współzawodnictwo objęło wszystkie członkinie. Smolikowa, mimo że miała mniej ziemi, systematycznie zwyciężała. Dlaczego? Wkrótce „tajemnica" wydała się. Smolikowa czytała. Książki rolnicze pomagały jej w gospodarstwie. Beletrystyka pobudzała ambicję i, — co tu ukrywać — twórczą fantazję — pragnienie szerszego, lepszego życia — takiego jakim żyją bohaterowie książek. Wkrótce czytelnictwo propagowane przez Smolikową objęło większość gromady, która i pod tym względem zaczęła przodować w powiecie. Są tu już tacy jak Rozalia Kaszuba, która, jak powiada Smolikowa, „nie poje bez książki".

Smolikowa interesowała się książkami jeszcze przed wojną, kiedy była robotnicą folwarczną, ale wtedy nie miała możności systematycznie czytać. Zresztą inaczej wtedy czytała. Wtedy nie umiała tak czytać i rozumieć jak dziś. Dawniej książka była dla niej ucieczką od rzeczywistości. Dziś rzeczywistość pomaga zrozumieć książkę, a książka — rzeczywistość. Dzisiaj Smolikowa ma własną biblioteczkę. Dwie szafki pełne książek. Dobrych książek.

Z ich pomocą walczy o założenie spółdzielni produkcyjnej w Wygiełzowie. Już jest komitet założycielski. Już jest 12 członków. Ale „wielu jeszcze żywi nienawiść do organizatorów wspólnych prac".

Pisarze, warto pisać dla takich czytelników jak ci w Wygiełzowie.

Jan Skalski

Foto J. K. Maciejewski

Gazetka gminna

Dobrzy ludzie

Nasza wieś Bystra Podhalańska (pow. Myślenice) słynie na całą okolicę z dobrych ludzi. Takich co to albo świadczą na rzecz gminy albo znowu bardzo swoje dzieci kochają.

Najpierw o pierwszych bohaterach. Przedwojenny sklepikarz — Rudolf Fajwer, właściciel dwóch wcale ładnych willi, oddał jedną z nich zarządowi

ZSCh na biura. Zarząd na grzeczności się zna, więc też zaprosił Fajwera do towarzystwa, no i chwalić Boga nieźle sobie radzą. A drugi nasz dobrodziej to ob. Smętek, także właściciel dwu dużych domów, dawny sklepikarz. Ten poszedł w ślady kolegi i ofiarował GS-owi domy na sklep i magazyny. Nie ma zasługi bez nagrody, został tedy magazynierem.

Co zaś się tyczy dobrych ojców to wymienić należy na tym miejscu niejakiego Maciaszka Józefa, mocnego średniaka. Mocnego z racji wykonywanych funkcji sklepowego. Dobry tata zrobił syna ekspedientem, a córkę odbiorczynią mleka w mleczarni. Naprawdę żaden z naszych ojców tak [illegible] wokół rodzinki się [illegible] zakręcił.

I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że świat nie jest jeszcze dobrze urządzony. Zwłaszcza w naszych stronach. Bo im bardziej pomyślnie wiedzie się naszym dobrodziejom, tym gorzej nam chłopom, a tak przecież być nie może. Dla przykładu powiem, że wszyscy chcieliśmy uzyskać najlepsze plony z ha. Dobrodzieje byli tak pracowici, że nocami wysiewali nawozy na polach, a rano okazywało się, że dla nas już nie ma. Ojciec Józef kąpał swoją córkę w mleku, co ujawniła komisja kontrolna, a robotnicy z Myślenic mleka nie mieli. Syn Józefa podarował matce kilka bel płótna pościelowego, a nasze kobiety boją się trzepać pierzyny, bo się poszwa rozleci.

Widzicie więc sami, że jesteśmy w nielada kłopocie, a już najwięcej to ja sam, bom ostatecznie ani dobry ojciec ani przodujący gospodarz. I jak by tu nie myśleć, zawsze na to wychodzi: usunąć tych kilku dobrych ludzi, to 90 proc. gromady zyska należytą opinię.

Kazimierz Dańko

Trzebińska mafia

Słyszałem niedawno, że na Sycylii, co to leży podobno gdzieś we Włoszech, są takie mafie, które służą bogaczom i ogromnie gnębią biedniejszych, uczciwych chłopów. Powiem wam, że wcaleśmy od tych Włoch nie gorsi.

Na czele naszej mafii w gromadzie Trzebień (pow. Bydgoszcz) stoi ob. Barszcz, prezes koła ZSCh. Należą tam tacy jak sołtys Wesołowski i kilku okolicznych bogaczy. A teraz napiszemy jak taka mafia działa i dlaczego trudno ją było pokorać.

Przyjechali niedawno panowie klasyfikatorzy z powiatu, bo żądaliśmy, żeby sprawiedliwie oznaczyli hektary przeliczone. Ci — jakby nie było — węch mieli dobry, gdyż zaczęli od gruntów sołtysa i prezesa. I nie stracili, mafia umie bowiem hojnie wynagrodzić tych wszystkich, co jej dobrze służą. Sołtysowa latała do GS-u po wódkę, któraś ze świnek zakończyła tajemniczo żywot a ziemia członków mafii straciła nagle na wartości, co zostało zapisane w protokóle. Nasza natomiast zyskała, pojawiły się nieznane w naszych stronach grunty II klasy i to przeważnie u parcelantów, byłych robotników folwarcznych. Tak się chłopom poszczęściło! Tylko, że bieda była z odstawą zboża i podatkami.

Mafia umie także srogo karać tych, co się jej woli przeciwstawiają. Odważyliśmy się napisać podanie do PRN. Wróciło bardzo szybko z prośbą o opinię aktywu gromadzkiego. A aktyw to właśnie nasza mafia. Resztę sami sobie dośpiewacie.

Ale w życiu często tak bywa, że wielkie interesa idą dobrze a na małym człowiek się poślizgnie i klapa na całego. Tak właśnie stało się z samym wodzem mafii. Nie dość, że zmniejszył sobie podatek i

obowiązkową sprzedaż zboża, zaproponował biednemu sąsiadowi, żeby w jego imieniu sprzedał zboże na czarnym rynku. Przez skromność nie dodaję, że to właśnie do mnie się zwrócił. Ten gospodarz pozornie się zgodził i kiedy spryciarz wiózł wieczorkiem ziarno na jego podwórze — wyskoczyła nagle cała gromada i zdemaskowała mafianta.

Resztę sami sobie dośpiewacie.

Bogusław Gogut

O cierpliwym papierze

Najgorzej wtedy się dzieje, kiedy się ludziom w głowie poprzewraca, tacy już niby mądrzy. Pisze te słowa samokrytycznie, bo tacy niby mądrzy, to właśnie my — chłopi z gromady Karścino pod Kołobrzegiem. Wdaliśmy się w korespondencję z PZGS-em i na początku rozumieliśmy nawet co do nas piszą, ale teraz?

Posłuchajcie jednak od początku. Ustaliliśmy, że sklepowa sprzedała przydziałowe mięso księdzu na misje, zarząd GS-u, w Gościnie

gotów się zapić na śmierć, a nawozy giną nocami. Wystarczy przecież, żeby interweniować w sprawie usunięcia sklepowej i zarządu GS-u. Wypisaliśmy list na jakie 3 strony, po miesiącu przyszła odpowiedź, że sklepowa będzie zdjęta ze stanowiska. Ale widzicie — to jest teoria, a praktyka pokazuje, że sklepowa nadal urzęduje. Co jest ważniejsze: praktyka czy teoria? Jeden z nas, partyjny, był na kursie, powiada więc, że musi być jedność teorii z praktyką, a jak jej nie ma, to znaczy się jest burżuazyjne urzędowanie. To my dawaj z nowym listem do PZGS-u, wytykając mu rozbieżność pomiędzy tym co pisze i robi. Za 3 miesiące przyszła odpowiedź, że sklepowa się poprawiła, więc rozbieżności nie ma. To znowu tylko teoria, bo w praktyce zginęło kilkadziesiąt par pończoch, o które rozbijały się tyle czasu nasze kobiety, więc rozbieżności ma się wiedzieć są. Usunęli wreszcie sklepową ale zaczęło się z zarządem GS-u.

Piszą nam z PZGS-u, że zarząd się zmieni. Jak to rozumieć — czy przestanie wódkę pić, czy przyjdą nowi ludzie? To już było dla nas za mądre. Obejrzeliśmy się na praktykę, bo ta nigdy nas nie zawodzi. Piją na całego i nic się nie zmienia. Znowu pisemko od nas. Przychodzi odpowiedź, że zarząd już zmieniony, ponieważ prezes został zwolniony z pracy. No dobra — myślimy, stanęło na naszym. Nie ma rozbieżności. Gdzie tam nie ma! Pojechałem do PZGS-u za interesem, patrzę i oczom nie wierzę — urzęduje tam nasz były prezes.

Nie wypada więc nam nic innego uczynić, jak najmocniej PZGS przeprosić za niezrozumienie jego urzędowania. Gdzież nam zwykłym chłopom do jego mądrości. Tylko, że rozbieżności pozostały.

Jan Biegała

Tajemnice produkcyjne

Rozmawiałem ze szwagrem Kołodziejem, co teraz mieszkanie w Warszawie dostał i zgadało się o mleku. I szwagier powiedział mi, że u nich teraz się poprawiło.

Nikt nie stoi już w kolejce za mlekiem a jak kto chce, to nawet do domu ze sklepu przynoszą, tyle, że sera białego nie ma.

— No, no, patrz Józek, mówię, jak to się odwraca. Za to ja, żebyś ty, chorobo, miał mleko po cztery i pięć godzin do zakładów mleczarskich w Piasecznie w kolejce stoję.

— Rozumiem — mówi szwagier. — Tyle ludzi odstawia mleko, że ścisk.

— E... nie to... tylko Zakłady nie przyjmują, bo gadają, że nie mają baniek. I czekają aż z Warszawy wrócą.

— A no, jak nie mają baniek...

— Czekaj chorobo, oni tylko tak gadają, że nie mają. A naprawdę to ja widziałem u nich na własne oczy pięćdziesiąt sztuk baniek stojących bez użytku a każda po czterdzieści litrów... Co jest? — myślę sobie. Próbowałem jedną podnieść. A tu ciężar jak cholera.

— Co tam w nich jest, kierowniku — pytam.

Kierownik spuścił oczy i palec na gębie położył.

— Cii, tajemnica produkcyjna, mówi.

No to mnie jeszcze bardziej zaciekawił i postanowiłem sobie uważać na te banieczki.

Koło południa, jak słonko dopiekło, patrzę, biegnie do bańki jeden urzędolas otwiera i garnuszkiem nabiera i chla. Biegnie drugi z chochlą, nabiera i chla. I trzeci z litrówki też chla.

— Możebyśta i mnie co dali? — wychylam się.

Trochę im było głupio ale dali. Kosztuję. Kwaśne jak sto diabłów, ale na gorąco dobre.

— Choroba — mówię — to takie wasze tajemnice produkcyjne! Skwasiliście pięćdziesiąt litrów! I co wy z tym chcecie robić, wszystkiego przecież nie wychlacie?

— Ano nie. Chyba znów trza będzie wylać.

— Wylać? O choroby, a czegóż wy z tego serów nie porobicie?

— Nie mamy okólnika.

— Ale, do pioruna, macie chyba rozum i ociupinkę sumienia.

Franciszek Wąs.

Nocna wyprawa

Dziwili się u nas w gminie Janów Podlaski, że się tak Michałowi Ofmanowi i jego kompanii odmieniło. No bo w zeszłym roku Ofman, Omelaniuk, Brzozowski i Kopytiuk mitrężyli z odstawą zboża, jak mogli a w tym roku już na trzecie ponaglenie sołtysa wyruszyli — z całą paczką. Jeszcze tego samego wieczoru, co wezwanie dostali. Sołtys też się zdziwił i nawet im pozwolił zaczekać do rana, bo już się ściemniało ale oni mieli już worki przyszykowane i nic, uparli się, że jeszcze tego wieczoru pojadą.

— Nie można, sołtysie... nie można, sumienie czekać nie pozwala. Robotnikom, biedaczkom, kiszki marsza grają, jeszcze by normy przez nas nie zrobili — zagadali zdębiałego sołtysa no i pojechali. A jakże, wesoło pojechali w cztery wozy z butelczyną i wielkim trzaskaniem z batów. Aż ludzie na drodze stawali i mówili: „Oj cuda robi nasz sekretarzyk, kiedy nawet Ofmanowa kompania ziarno we wrześniu odstawia i to na wesoło".

Zajechali do magazynu, dobijają się. Magazynier Józio Sokoluk też się zdziwił i pyta, czemu o tak późnej porze.

— O, mój sokole — klepie go Ofman po plecach i dalej zawodzić przy wtórze Omelaniuka i Kopytiuka — pomagamy biednym wdowom przy orce i młócce, czasu nie ma, tyle co nockę oszukamy.

A Brzozowski już z tyłu palcami po flaszeczce dzwoni i kusi.

No i otworzył im Sokoluk magazyn. A oni migiem za wory łap i ciągną z takim ogniem, że aż się kurzy.

Sokoluk mówi:

— Pomału, pomału, czekajcie, poświecę wam.

— Nie trzeba, mój Sokole, światła szkoda — stęka Ofman a Brzozowski dalejże napierać na niego z butelką. A Omelaniuk i Kopytiuk odwiązują.

Sokoluk jednak poświecił.

A potem nagle buchnęła po gminie wieść, że Ofmanową kompanię czeka sprawa w sądzie. Przywieźli zawołczone zeszłoroczne zboże i gdyby nie czujność Sokoluka zaraziliby cały magazyn... Ale nasz Sokoluk jest czujny i na butelkę nie chytry.

Cyryl Hładko

WITOLD DEGLER

Jak referent Bibułka..

Tomasz Bibułka, starszy referent,
ułożył sobie plan marzycielski:
„Na cały urlop wyjadę w teren —
by wreszcie na wsi mieć spokój sielski!

O, błoga wizjo lubych wakacji
wśród pól i lasów, wśród łąk, nad rzeczką.
Z dala od gwaru cywilizacji
prosto od krowy popijać mleczko!"

Wybrał więc wioskę zaszytą w lasach,
w jakimś Zalesiu, Wólce, Borkowie —
a jak mu płynął czas na tych wczasach,
to Wam pokrótce zaraz opowiem:

Gdzie śni Bibułka sielską beztroskę,
tam zetempowska krąży brygada —
i wnet dosłownie „prąd przeszedł wioskę":
światło żarówek w zagrody wpada!

Na próżno dumać o sennej ciszy —
Plan Sześcioletni porwał i skradł ją!
Tomasz budzika wprawdzie nie słyszy,
ale u chłopa budzi go radio!

Na drugi bok się w łóżku przewraca,
jeszcze nie wierzy przedziwnym faktom —
aż tu z podwórka budzi go praca:
w pole wyrusza z łoskotem traktor!

Letnik motyle gonił wśród łąki,
wtem go wołają wiejskie chłopaki:
„Zamiast motyli pogońcie stonki!"
Więc zawstydzony poszedł w ziemniaki.

Raz miedzą zabrnął w łan urodzajny
po wiązkę maków dla pięknej chłopki —
nagle się natknął wprost na kombajny!
I co miał robić? Chwycił za snopki!

Kiedy dożynki zaś urządzono,
starszy referent — czyn niesłychany:
choć lubił wcześnie spać chodzić pono,
tu dał się skusić — i dalej w tany!

A gdy zebranie gromada miała
w sprawie omłotów, zboża odstawy,
Bibułka żądzą pióra zapałał!
Protokółował... Dla dobra sprawy.

Wrócił do miasta dumny z tych wczasów
i dumny ze wsi w lasach nad rzeczką —
gdzie jest twórczego tyle hałasu!
Nie tylko kwiatki i krowie mleczko...